Nr. 28. Poznań, Niedziela 14. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

(*Dokończenie.*)

Nastąpiła wreszcie owa sławna petycya ludu górnoszląskiego do księcia Biskupa o wstawienie się do rządu za przywróceniem języka polskiego w szkołach, pokryta 126 tysiącami podpisów. Petycya ta spotkała się z silną opozycyą tych właśnie duchownych, którzy w organizacyi centrowej najważniejsze zajmowali stanowisko. Obok tego wszystkiego toczyła się walka cicha, ukradkowa w towarzystwach, w kościele i w życiu codziennem. Prasa centrowa witała z niechęcią lub potępiała z góry każde nowotworzące się towarzystwo polskie, prasa centrowa pierwsza wywołała owo widmo „agitacyi wielkopolskiej“ i straszyła niem nietylko rząd, ale Niemców wogóle. Zakładane przez księży Towarzystwa św. Cecylii rugowały, zakryte odnośnemi przepisami kościelnemi, coraz bardziej śpiew polski z miejskich i wiejskich kościołów, o co naturalnie powstawały gorące polemiki dziennikarskie. W życiu codziennem Niemcy katolicy bojkotowali każdego, kto śmiał się buntować przeciwko wszechmocnej powadze centrum, a księża zaraz takiemu buntownikowi odmawiali prawa nazywania się katolikiem. Wreszcie w końcu r. 1892 wybuchła strasznie zacięta walka o „Nowiny Raciborskie“, spowodowana ostrym artykułem tego pisma w sprawie zgermanizowania bractwa „Służebniczek Maryi“. Pod pozorem, że artykuł ten obraził księcia Biskupa, sypały się inspirowane z Wrocławia oświadczenia dekanatów, przeciwko rzekomo złej tendencyi tego pisma. W tej walce upadło dużo słabszych duchów, między innymi czczony dawniej bardzo jako narodowiec, ks. Engel. Ale i ta kampania się nie udała. „Nowiny Raciborskie“ wyszły z tej walki silniejsze niż były przedtem, a to i reszcie prasy polskiej dodało odwagi i podniosło niezmiernie ducha polskiej opozycyi. Niemcy centrowi pienili się ze złości. Ofiarą jej miał paść pierwszy pan major Szmula, — gdyż bynajmniej nie taił swego niezadowolenia z postępowania stronnictwa centrum, tem się przyczynił do zdemaskowania obłudy centrowej i pierwszy z posłów centrowych zbliżył się otwarcie do raciborskiej opozycyi. Zjawił się on niespodzianie na zebraniu Towarzystwa Polsko-Górnoszląskiego w Raciborzu w styczniu r. 1893, a przyjmowany z wielkim entuzyazmem usankcyonował obecnością swą działalność okrzyczanego za niekatolickie i radykalne towarzystwa tego. Jako próbka stylu polemicznego „katolickiej“ „Schles. Volksztg.“ z owych czasów niech posłuży następujący przykład. Pan major prowadził wtedy w Raciborzu na zabawie Towarzystwa poloneza. Otóż nazajutrz po tej uroczystości pojawiła się w gazecie rzeczonej ostra zaczepka p. majora, która kończyła się słowami: „hat sogar dem famosen „Nowinymanne (redaktorowi W. Maćkowskiemu) die Polonaise vorgetanzt“. Wogóle posypały się na p. majora od tej chwili w prasie centrowej najhaniebniejsze paszkwile. I gdy w maju r. 1893 zaczęto przebąkiwać o możliwości rozwiązania parlamentu i ponownych wyborach, przyjaciele p. majora nie łudzili się ani chwili, że centrum ponownie kandydatury jego nie postawi. I tak się też stało.

Parlament niemiecki został, jak wiadomo, w roku 1893 rozwiązany dla tego, że nie chciał się zgodzić na nowy projekt wojskowy i połączone z nim nowe ciężary podatkowe. W ówczesnej konstelacyi stronnictw — podobnie jak dzisiaj — centrum dzierżyło w swem ręku decyzyą i mogło przechylić zwycięztwo na stronę rządu lub przeciwną. To też ówczesny rząd niemiecki z panem hrabim Caprivim na czele poruszył wszelkie zakulisowe sprężyny, aby pozyskać chociaż tylko pewną część głosów, tyle właśnie, ile do utworzenia większości było potrzebne. Że oczywiście pertraktował w pierwszej linii z arystokracyą centrową, to rzecz zupełnie naturalna. Na czele stronnictwa stał wtedy pan hr. Ballestrem z Pławniowic na Szląsku. Magnat ten, człowiek gładki i przyjemny pod względem towarzyskim, umiał po śmierci barona Frankensteina i Windhorsta zagarnąć naczelne w stronnictwie władze i zdobyć sobie pewną powagę. Były to bowiem czasy śp. nowego kursu, który w katolikach niemieckich wzbudzał najoptymistyczniejsze nadzieje i skłaniał posłów centrowych do łagodniejszej polityki. Spodziewano się może, że centrum stanie się obok konserwatystów niemieckich stronnictwem rządzącem i w tym celu pozwolono p. hr. Ballestremowi pertraktować z rządem na własną rękę. Obok niego zajmował wybitne w stronnictwie stanowisko znany baron Huene. Obaj marzyli już w skrytości serca swego, wobec możliwości centrowo-konserwatywnej koalicyi, — o tekach ministeryalnych i uważali projekt wojskowy za najlepszy środek dla dopięcia do celu tych marzeń. To też całą swą powagę rzucili na szalę, ale niestety stanowczo ponieśli klęskę. Rząd nie chciał dać odpowiedniej do ofiary tej kompensaty na polu kościelno-politycznem, a opinia ludu katolickiego w Niemczech była stanowczo przeciwną nowym ciężarom na wojsko. Wobec tego przy głosowaniu za p. Ballestrem poszło zaledwie jedenastu posłów, podczas gdy gros stronnictwa głosowało przeciwko projektowi. Projekt upadł i parlament został rozwiązanym.

Z tych 11 posłów, którzy złamali solidarność stronnictwa, ośmiu pochodziło ze Szląska: czterech z okręgów wyborczych niemieckich jak p. dr. Porsch i p. baron Huene, oraz dwóch innych, i czterech z okręgów przeważnie polskich, a mianowicie: hr. *Ballestrem*, poseł opolski, hr. *Matuszka* młodszy, poseł prudnicki, baron *Reitzenstein* poseł rybnicko-pszczyński i p. tajny radzca *Dejanicz-Gliszczyński*, poseł raciborski. Zaś przeciwko projektowi w myśl większości stronnictwa centrum głosowali: major *Szmula* (mimo swego charakteru wojskowego), poseł bytomski, radzca *Letocha*, poseł katowicko-raciborski, *Metzner* (mistrz kominiarski z zawodu) poseł gliwicki, oraz mecenas *Stephan*, poseł kozielsko-strzelecki, czyli innemi słowy: czterech arystokratów za projektem, a czterech demokratów przeciwko projektowi.

Opinia publiczna, opinia ludu polskiego na Górnym Szląsku była stanowczo przeciwną projektowi, a wszystkie trzy pisma polskie: „Katolik“, „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“, — (osławiony „Kuryer Górnoszląski“ nie istniał jeszcze wtedy) — najdobitniej opinii tej dawały wyraz, — ale cóż sobie panowie Ballestrem et consortes z opinii tej robili? Traktowali oni lud szląski, polskich wyborców swoich, zupełnie jak bydełko, niezdolne do samodzielnego czynu, o którego życzenia i dobro dbać nie potrzeba, a które na rozkaz pasterzy, — w tym wypadku duchowieństwa, — mimo takiego policzka, dalej najspokojniej rydwan wielkopańskiej polityki ciągnąć musi. Przecież panowie ci do tego stopnia w ostatnich latach lekceważyli wolę ludu, że mimo częstych nawoływań prasy polskiej i licznych głosów odzywających się w postaci korespondencyi, o zdaniu sprawy z czynności poselskich na zebraniu wyborców ani słuchać nie chcieli.

Tymczasem ta ich zdrada interesów ludu, przedstawiona przez prasę polską w należytem świetle, wywołała między polskim ludem górnoszląskim wielkie oburzenie, które znów w różny sposób tak dobitnie się objawiło, że panowie ci poznali, iż przyjdzie im stoczyć z wyborcami bój zacięty — jakkolwiek ufni w pomoc księży o zwycięstwie ostatecznem nie wątpili. Osobiste ich widoki będą naturalnie jak najgorsze, więc postanowili na razie pozornie cofnąć się z widowni politycznej i w miejsce swoje, aż do

stósowniejszej pory wysunął innych ślepych swych zwolenników. Więc p. hr. Ballestrem złożył nietylko urząd przewodniczącego w stronnictwie, — ale oświadczył zarazem, że mandatu już więcej nie przyjmie, a za jego przykładem poszli hr. Matuschka i p. baron Reitzenstein. Jedynie były poseł raciborski, p. Dejanicz-Gliszczyński jeszcze się wahał. Faktycznie nic się nie zmieniło. Pan Ballestrem, hr. Matuschka (starszy), dr. Porsch i p. baron Huene pozostali i nadal naczelnikami szląskiego komitetu stronnictwa centrum, a posiadając w swem ręku także główny organ centrowy: „Schles. Volkszeitung“ postanowili dalej uprawiać przychylną dla rządu i projektu wojskowego politykę, potępioną przez wyborców swoich. I podczas gdy w walce przedwyborczej cała niemiecko-katolicka prasa występowała stanowczo przeciwko projektowi, „Schles. Volksztg.“, „Oberschles. Volkszt.“ i inne centrowe organa górnoszląskie zajęły stanowisko niewyraźne, niezdecydowane, — a nawet wręcz przychylne projektowi.

Chodziło teraz o postawienie nowych kandydatów i w tym celu panowie Ballestrem i towarzysze zwołali do Wrocławia zebranie mężów zaufania stronnictwa centrum. Ale jakich to mężów zaufania! Nie czasem takich, których lud polski, to jest wyborcy wybrali na zebraniach publicznych, — tacy byliby stanowczo się oparli zamysłom panów niemieckich. Otóż zawezwano z każdego okręgu jednego albo dwóch *dziekanów* lub *proboszczów* wybitniejszych, mających wpływ na resztę duchowieństwa, a oprócz tego ślepo duchowieństwa słuchających katolików niemieckich. Takim był ów centrowy komitet wyborczy już przed dwudziestu laty i takim pozostał po dziś dzień, a więc komitetem zupełnie samozwańczym, ignorującym a nawet wprost gwałcącym wolę polskiego ludu. Aby zanadto nie drażnić opinii ludu, uradzono na posiedzeniu komitetu tego postawić na nowo trzech posłów dotychczasowych, a przez lud dosyć lubianych, pp. *Letochę*, *Stephana* i *Metznera*, — ale pod warunkiem, że co do przyszłego stanowiska względem projektu wojskowego nie będą się wiązali żadnemi przyrzeczeniami, — *za to usunąć raz na zawsze majora Szmulę, tę widomą głowę polskiej opozycyi i męża, który nigdy nie byłby przystał na taką klauzulę.* Pan major *Szmula*, który na owem posiedzeniu był obecnym, otrzymał na swe zapytanie, dla czego kandydaturę jego usunięto, odpowiedź cynicznie — otwartą, że tylko dla tego, iż zanadto kokietuje z polską opozycyą, a mianowicie z opozycyą narodową, skupiająca się około „Nowin Raciborskich“ i „Gazety Opolskiej“.

Panowie centrowi wiedzieli dobrze, że wobec tego zamachu na najpopularniejszą między ludem polskim osobistość, opozycya polska jeszcze się wzmoże, i dla tego z wielką mądrością wybrali następcę pana majora. Był nim poczciwy staruszek *ks. dziekan Nerlich* z Piekar pod Bytomiem. Piekary są miejscem pątniczem z cudownym obrazem Matki Boskiej, sławnym nietylko na Szlątku, ale w całej Polsce, bo przed nim Jan Sobieski idąc pod Wiedeń składał śluby uroczyste, przed nim też konwertowali, jadąc do Polski na objęcie tronu, obaj sascy Augustowie. Kalwarya piekarska, przepięknie przez ks. Nerlicha wybudowana i ozdobiona, ściąga rok rocznie tysiące pątników, to też osoba proboszcza miejscowego była i jest po dziś dzień bardzo popularną, tem bardziej, że posiada on charakter łagodny, jeszcze nienajgorzej po polsku mówi i jawnie przynajmniej jako germanizator nie występował. Spodziewano się więc, że przeciwko takiemu kandydatowi opozycya polska nic zdziałać nie zdoła.

Podobnie mądrze postąpiono sobie w okręgu opolskim i prudnickim: — w obu okręgach postawiono na kandydatów księży, i to księży także bardzo popularnych, mówiących po polsku, pochodzących z ludu, z polskiemi nazwiskami, jakkolwiek w głębi serca najzupełniej oddanych panu Ballestremowi i towarzyszom jego, w opolskim okręgu *ks. Wolnego*, a w prudnickim *ks. Cytronowskiego*. Największy ambaras sprawiał działaczom centrowym okręg raciborski. Tam, jak powiedzieliśmy, zamierzano nasamprzód narzucić ludowi ponownie kandydaturę pana Gliszczyńskiego. Nie myślcie atoli, iż pan ten jest Polakiem, tylko nazwisko pozostało u niego polskiem, pochodzi bowiem z starej polskiej szlachty szląskiej, ale ród jego już od wieków zniemczony. On sam ani słówka po polsku nie mówi. Pan Gliszczyński był wtedy radzcą przy „Kammergerichcie“ berlińskim, do powiatu, który go obrał, nie zaglądał wcale, z wyborcami nie miał najmniejszej styczności, o ich zdanie nie dbał, a w parlamencie należał do najbardziej ugodowo usposobionych posłów centrowych. To też kandydatura jego była u ludu polskiego w okręgu raciborskim, a nawet u więcej samodzielnych i demokratycznie usposobionych Niemców katolików tak znienawidzoną, iż ostatecznie jednak odstąpiono od niej. Zachodziła w tym wypadku jeszcze ta trudność, że podczas gdy w innych okręgach nawet w razie rozbicia głosów zawsze zwyciężyć musiał kandydat *katolicki*, powiat raciborski już od samego początku należał do mniej pewnych. Istnieje tam bowiem silne stronnictwo wolnokonserwatywne, podtrzymywane głównie przez zniemczone mieszczaństwo, znaczną część pogrążonego w zupełnym niby farentyźmie politycznym ludu morawskiego i dwa wielkie fideikomisy, rozpocządzające znacznemi zastępami „białych niewolników“. Stosunek głosów przy wyborach w roku 1893 był taki, że pan Gliszczyński otrzymał 9000, a kandydat wolnokonserwatywny, książę Raciborski, 7000 głosów. Gdyby więc chociaż kilka tysięcy głosów odłączyło się od centrum, — tak rozumowali działacze centrowi, wytworzyłaby się bardzo skomplikowana i nieprzyjemna sytuacya wyborów ściślejszych. Więc postanowiono na razie poświęcić pana Gliszczyńskiego, i zręcznym jakim *coup d'état* jednak postawić na swojem.

Co atoli w tym czasie robiła nasza prasa polska, nasza narodowa opozycya? Niestety z żalem wyznać muszę, że nie było między nią tej jedności, tego porozumienia, które w takich warunkach jest nieodzownie potrzebnem, jeżeli sprawa ma wziąć dobry obrot Sytuacya swoją drogą była korzystna, jak nigdy. Urok stronnictwa centrum był przez odstępstwo panów szląskich rozbity, aureola uświęconej przez Kościół nietykalności co najmniej podkopana, lud stracił zaufanie do centrum, a przynajmniej do narzuconych mu przez księży reprezentantów szląskich, którzy wbrew woli i przeciw interesom jego, pomijając już narodowe i językowe względy, w parlamencie głosowali za nowemi ciężarami. Wprawdzie rozwiązanie parlamentu nastąpiło za nagle, za niespodzianie, — brakło nietylko ludzi, ale i organizacyi. Z tego powodu opozycya w okręgach, gdzie nie było gazet polskich, tych centr ruchu polskiego, mogła być tylko *bierna*, jednakże w okręgach *bytomskim, opolskim i raciborskim*, gdzie dzięki gazetom i względnie liczniejszej inteligencyi polskiej organizacyą taką łatwo było stworzyć, śmiało można było wystąpić do otwartej walki z centrum. Tymczasem stało się to faktycznie tylko w okręgu raciborskim, w okręgach opolskim i bytomskim nie zdobyto się na tyle odwagi.

W Raciborzu zaraz po rozwiązaniu parlamentu za inicyatywą redaktora Maćkowskiego i dr. Rostka utworzył się komitet z samych włościan, rzemieślników i robotników złożony, który zajął się wyborami niezależnie zupełnie od miejscowych przywódzców centrowych. Komitet ten wyraźnie nazwał się polskim i ludowym i *pierwszy na Górnym Szląku wyłamał się z pod bezwzględnej przynależności do centrum.* Był to moment w dziejach Szląska bardzo ważny. Przykład powiatu raciborskiego oddziałał i na inne powiaty i wszędzie pobudził lud do oporu. Tymczasem chodziło przedewszystkiem o przeprowadzenie na nowo kandydatury pana majora Szmuli. Postawić pana majora na kandydata w powiecie raciborskim

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— No tak, mój chłopcze, to zupełnie słuszne — rzekł tonem lekkiej ironii. Z idealnego punktu widzenia, byłoby to nawet godnem najwyższego szacunku: na świecie jednak nie tyle z idealnych punktów widzenia spoglądamy na rzeczy, często życie zniewala nas je pomijać. — Dobrze, idziemy zaraz — rzekł teraz, zwracając się do służącej, która weszła do pokoju z oznajmieniem, że waza na stole... — idealne poglądy mają zapewne swoją racyę bytu, są one, że tak powiem, szkłem powiększającem, przez które patrzeć możemy na własne wady nasze. Do tego użytku są znakomite, lecz w ogólnem, praktycznem zastosowaniu są do niczego. — A teraz nie mówmy już o tem więcej! Chodźmy, bo wystygnie.

Mówiąc to, zlekka uderzył Bergstöma w ramię i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Bergström zbliżył się do Engelki, która też ku niemu się zwróciła: twarz jej pałająca i oczy pełne blasku zdradzały wewnętrzne wzburzenie.

— Jerzy — rzekła cichutko, biorąc go za rękę. — musisz mi przyrzec jedno: nie napiszesz nic o Nörgaardzie!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Dobrze, ale dla czego?

— O, przyrzeknij mi to! proszę cię Jerzy!

— Tak, tak... Czy także uważasz to za niepraktyczne? — zapytał drwiąco.

— Nazwij to jak chcesz, wszystko mi jedno! — szepnęła.

I zanim mógł coś odpowiedzieć, zarzuciła mu oba ramiona na szyję i na ustach jego przeciągły złożyła pocałunek. Doktór niecierpliwił się już z drugiego pokoju. W tejże chwili weszli, trzymając się za ręce, do jadalnego pokoju.

III.

W dni następne niewiele mówiono o Nörgaardzie w domu dr. Pauli: a gdy Bergström od czasu do czasu temat ten poruszał, odpowiadał mu doktór wymijająco, co wyraźnie świadczyło, że niechętnie o tem mówi.

To jednak bynajmniej nie dziwiło Bergströma, — natomiast zachowanie się Engelki, w ostatnich dniach, wiele mu dało do myślenia. — Dawniej, zauważył, ilekroć potrącał w rozmowie o Nörgaarda, — a czynił to często, — stawała się niespokojną, najchętniej zaś omijała ten przedmiot rozmowy: uciekała wprost przed tem nazwiskiem. Teraz inaczej: gdy wspomniał go, natychmiast milkła, patrząc na niego z miną tajemniczą, zakłopotaną...

— Co też to być mogło? zapytywał siebie. — bo jej nie chciał o to pytać, w obawie, aby nie pierzchnął ten nowy czar, jaki jej owa tajemnica nadawała, — a badał chętnie, bez wszelkiej pomocy, duszyczkę swej przyjaciołki. Sam chciał błądzić po nieznanej tej krainie, kryjącej w sobie wiele źródeł świeżych, wiele kiełków, które, — ażeby dobrze rozwinąć się mogły — powoli na światło dzienne wyprowadzić należało...

— Żeby już te przeklęte wybory minęły! — myślał — wówczas cały oddam się mojej miłości...

Lecz owe wybory, wogóle polityka ku własnemu jego zdziwieniu bardzo go zajmowały.

W długich wywodach usiłował on przedstawić doktorowi, — każdemu wogóle, kto tylko chciał słuchać — jak ważną jest chwila obecna dla rozwoju życia umysłowego Danii, która, po długich latach niewoli duchowej, na nową wstępuje drogę. Dania znajduje się w przededniu wielkich zmian, które spowodują przeobrażenie się jej stosunków.

— Bo też za długo — mówił z ironią — trwało owo karmienie słabych żołądków naszych strawą ciężką, niezdrową; z ciekawości głupiej i z niezdrowego popędu do naśladownictwa staraliśmy się proste nasze potrawy ojców za-

było atoli rzeczą ryzykowną, ponieważ powiat ten za mało przedstawiał widoków zwycięstwa. Najnaturalniejszą rzeczą było postawić pana majora na nowo w powiecie bytomskim przeciwko ks. Nerlichowi, boć tam jako poseł dotychczasowy i wobec jednolitej pod względem narodowym ludności najpewniej mógł być wybranym. Atoli „Katolik“ bytomski nasamprzód się wahał, — pismo to byłoby może wogóle poświęciło p. majora i dla „miłej zgody“ i dla „sprawy katolickiej“ zgodziło się na ks. Nerlicha, gdyby lud sam nie był murem stanął przy dawniejszym swym pośle. Dopiero pod presyą ludu „Katolik oświadczył się za p. majorem i na rzecz jego rozpoczął agitacyą, ale zawsze jeszcze na podstawie programu *centrowego* i jako dla kandydata centrowego.

W Opolskiem, posiadającem jeszcze stosunkowo najlepiej dla polskości usposobiony zastęp księży, duchowieństwo samo zbliżyło się do „Gazety Opolskiej“ i stojącego za nią stronnictwa polskiego, utworzyło komitet, do którego weszli w równej liczbie niemieccy i polscy katolicy i zgodziło się na zupełne równouprawnienie, w zamian za co strona polska przyjęła kandydaturę ks. Wolnego, który ze swej strony złożył deklaracyę, że zawsze wiernie bronić będzie polskiego ludu. I w innych okręgach skończyło się na krzyku, — ostatecznie, jakkolwiek z pewnemi zastrzeżeniami z wyjątkiem Raciborza i Bytomia dla braku kandydatów odpowiednich i ludzi do agitacyi wszędzie przyjęto kandydatów centrowych. Otóż i tak nieliczna u nas inteligencya w tej właśnie chwili do reszty stchórzyła, — *a Wielkopolska . . . . o nas wcale nie dbała!*

A była to, jak zaznaczyłem na wstępie, jedyna chwila, w której mogło było nastąpić polityczne zbratanie się obu dzielnic. Centrum na Szląsku było rozbite, lud polski wzbudzony, więc przy szczerym współudziale Wielkopolan, przy stósownem z waszej strony poparciu można było pokusić się o cel ten tak wzniosły a tak dawno upragniony. Niestety stało się inaczej. Wielkopolanie poszli inną odmienną drogą, *dla nich ważniejszemi były złudne korzyści polityki ugodowej, aniżeli odzyskanie bratniej dzielnicy z milionem ludu polskiego. I podczas gdy u nas pod presyą ludu, niezdolnego* już podołać ciężarom państwowym, nawet ks. *Cytrynowski* i ks. *Wolny* zniewoleni zostali w końcu oświadczyć się przeciwko projektowi wojskowemu, gdzie lud cały wytężył wszystkie siły, aby wybrać posłów przeciwnych nowym ciężarom, — u was w Wielkopolsce dzięki mądrości politycznej p. Kościelskiego odbywały się wybory pod hasłem *przyjęcia* projektu. Ma się rozumieć, że w tych warunkach o jakiemkolwiek połączeniu mowy być nie mogło. *Lud szląski nie pojmował tego, jak można było nową broń wciskać do tej ręki, która dla nas żadnych niema względów — i stracił zaufanie do Was. I tak wzniosła ta chwila minęła bez korzyści i ci, którzy u Was wówczas tę politykę uległości dla rządu zainaugurowali, kiedyś przed forum przyszłych pokoleń znajdą sędziów surowych a nieubłaganych.*

Lecz wróćmy do powiatów bytomskiego i raciborskiego. W bytomskim jak już powiedzieliśmy lud otoczył murem majora Szmulę.

W raciborskim okręgu ofiarowano mandat poselski najprzód dwom wybitnym członkom inteligencyi szląskiej, ale ci panowie odmówili, niechcąc się narażać na nieprzyjemności walki. Wtedy postawiono na kandydata p. *Robotę*, emerytowanego nauczyciela z Prudnika, gorącego Polaka i człowieka pod każdym względem uczciwego. Komitet raciborski wydał dla poparcia kandydatury tej trzy odezwy, w języku *polskim, morawskim i niemieckim*. Wtedy centrum chwyciło się środka ostatecznego i **połączyło się z stronnictwem wolnokonserwatywnem przeciwko kandydatowi polskiemu!** Na wspólnego kandydata wybrano ks. *Franka*, proboszcza przy kościele św. Piusa w Berlinie, Niemca, a raczej zniemczonego Morawianina z powiatu raciborskiego, który był przez czas dłuższy w Raciborzu wikarym i jako ksiądz cieszył się sympatyą ludu. W imieniu jego na zebraniu w Raciborzu ks. Scheffer, proboszcz raciborski złożył deklaracyę, że będzie głosował za projektem wojskowym, bo tylko pod tym warunkiem zgodzili się wolnokonserwatyści na jego wybór. No i rozpoczęła się walka wyborcza, jak równej nigdy prawie nie było, walka pełna iście homerycznych epizodów. Księża używali wszelkiego wpływu przeciwko kandydatom ludu, walczyli środkami najniegodziwszemi a byli między nimi tacy, którzy, — fakt to zapisany do historyi, — *publicznie kazali się modlić o nawrócenie majora Szmuli i Roboty oraz redaktorów Napieralskiego, Koraszewskiego i Maćkowskiego jako najzawziętszych buntowników przeciwko „centrum i Kościołowi!“*

Lud godnie odpowiedział na tę agitacyą, zwłaszcza w powiecie bytomskim. Tam pan major Szmula otrzymał w dniu 15 czerwca r. 1893 — przeszło 23,000 głosów, podczas gdy przeciwnik jego, ks. Nerlich, uzyskał ledwie 7000 głosów. I w powiecie raciborskim byłoby centrum upadło, mimo ślepego posłuszeństwa ludności morawskiej, gdyby nie pomoc wolnokonserwatywna. Pan Robota otrzymał bowiem 6000, — a kandydat połączonych stronnictw niemieckich 9000 głosów.

Łamy waszego pisma za szczupłe, abym Wam mógł opisać szczegóły tej walki, jaką wtedy stoczyliśmy, szczegóły nader ciekawe, rzucające jaskrawe światło na stosunki nasze. Może później znajdziecie więcej miejsca na to. Tym razem poprzestańcie na tym krótkim opisie. Później, jeśli zechcecie, opiszę Wam także, jak to centrum przy następnych wyborach wyszło na tej pomocy konserwatywnej; pomówię też o naszej szląskiej literaturze rodzimej. Dziś skończę życzeniem: Oby nauka roku 1893 nie poszła w las! Nie szukajcie zwodniczych korzyści tam, gdzie ich nigdy nie znajdziecie, gdzie zawsze w takiej lub w owej postaci mieć będziecie wrogów przed sobą. Zbliżcie się raczej do nas, otwórzcie ramiona tym, którzy do was wzdychają, a korzyści, jakie przez to odniesiecie będą stokroć większe. Daj Boże, aby jeśli znów taka chwila nadejdzie, znalazła nas w jednym szeregu, ramię przy ramieniu przeciwko tym, którzy nam chcą wydrzeć narodowość naszą!

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„Dziennik Kujawski“ donosi w numerze 152:

„Przed 10 laty rozpoczęto przenosić z W. Ks. Poznańskiego nauczycieli Polaków do prowincyi zachodnich, a na opróżnione po nich miejsca sprowadzano Niemców z nad Odry, Elby lub Wezery.

Aliści okazało się wnet, że procedura ta jest kosztowną i bezowocną. Zaniechano przeto przesiedlania nauczycieli naszych „nach dem Westen des Reiches“, ale za to praktykuje się teraz inny system. Ściągają obecnie do preparandyi i seminaryów nauczycielskich W. Ks. Poznańskiego młodzież z niemieckich prowincyi, a przez to Polakom wstęp do tychże zakładów ogromnie utrudniono.

Lecz nie dość na tem. Aby ile możności jak najwięcej posad nauczycielskich na ziemi naszej wychowawcami nowszego zakroju obsadzić, wzięto się jeszcze na inny sposób.

Otóż radzcy rejencyjni, rewidując szkoły na prowincyi przeważnie w tych okolicach, gdzie są zatrudnieni Polacy, bardzo uważają na to, czy dzieci są w stanie wyjęzyczyć się podług ich życzeń. Jeżeli dziecko ma wymowę twardą, akcentuje i intonuje na sposób polski, natenczas pan radzca udziela nauczycielowi radę, aby wniósł o emeryturę, albowiem widzi, że jest on już starszej daty i nowszym zadaniom szkoły sprostać nie jest w stanie.

Dąży się przeto wszelkiemi siłami do wytkniętego celu, ale teraz nie robi się wiele hałasu. Nie łudźmy się. Nacisk na szkoły jest coraz większy, ale

---

stąpić innemi lub obcemi zaprawić dodatkami, a nieuniknionym rezultatem tego, cóż się okazało? Oto pokolenie słabe, cherlawe! — Lecz Bogu dzięki znaleziono już skuteczne środki zaradcze! z całym spokojem zatem powróćmy do naszych narodowych klusek na mleku i kaszy! a niebywałe zdrowie znowu zapanuje wszędzie. Zaiste! jak pięknie rozwiniętem byłoby wówczas młode pokolenie, jak pełnem zapału i myśli głębokich a wzniosłych!

— W myśli — opowiadał dalej z uśmiechem — widzę kochany nasz lud w obronie narodowych swych właściwości powstający: kobiety i mężczyźni w wielkie łyżki uzbrojeni, stają do walki z wszelkiemi wpływami obcemi, — życie swe gotowi złożyć w ofierze... Dokoła zaś nich czuwające grono szanownych uczonych naszych...; gdyby zaś zbliżył się do nich jakiś ptak piękny, szybkolotny, z innych krajów przybyły — i począł śpiewać o tem, jak pięknie na wielkim jest świecie, jak śmiało tam patrzeć można, jak swobodnie myśleć i szerokie horyzonty myślą obejmować — wówczas czujne powagi nasze nie omieszkałyby krzykiem swym piękny śpiew ptaka zagłuszyć, a ludek tak długo odgrażałby się swemi łyżkami od kaszy, dopókiby go do odlotu nie zmusił... A potem modły dziękczynne wznosiłby do nieba za uratowanie odrębności... i spokojnie wróciłby do kaszy i mleka.

W ten i podobny sposób zabawiał Bergström swego teścia wieczorami przy toddy. Pauli śmiał się wesoło, lecz radził mu unikać alegoryi...

Bergström z szczególnem upodobaniem śledził bieg kampanii wyborczej, jaka przed jego prawie oczyma się rozgrywała. W redakcyi pewnego konserwatywnego pisma, z którem nieco sympatyzował dla jego tendencyi do pewnego stopnia liberalnych, — dowiedział się, że Nörgaard nie sam kandyduje w swoim okręgu, ma on dwu kontrkandydatów: radykała adwokata z pobliskiego miasteczka, byłego posła, a także pewnego młodego właściciela dóbr, zwolennika zasad umiarkowanej lewicy. Dowiedział się także, że zwoływane przez Nörgaarda zgromadzenia bez wszelkiej odbywają się opozycyi, gdyż owi kandydaci zajęci są zbytnio napaściami na siebie, — by na trzeciego kandydata zwrócić uwagę. Mając więc zapewniony prawie mandat, może Nörgaard cały czas swój i siły poświęcić walce z niemoralnością i że w tej kwestyi na wiele interpelacyi pełne obietnic na przyszłość daje odpowiedzi. Pisma miejscowe zapowiadały już świetne jego zwycięstwo.

Nareszcie nadszedł ów wielki dzień. W Kopenhadze ogólnie interesowano się wynikiem tych wyborów a to z powodu Nörgaarda, który był tu osobistością znaną w szerokich kołach. Jakież więc było zdziwienie, gdy z Söllerup nadeszła wiadomość, że Nörgaard nie został wybranym, a w miejsce jego ów umiarkowany kandydat lewicy. Zapytywano się wzajem, jak, to się stać mogło? nikt tego się nie spodziewał, tak pewnem było jego zwycięztwo. Bergström zatelegrafował nawet do znajomego swego, który z polecenia swego pisma do Söllerup był pojechał, by na miejscu badać ciekawe te wybory, — ażeby mu tenże dokładne przesłał sprawozdanie o tem, co tam zaszło.

W domu dr. Pauli wywołała wiadomość o rezultacie wyborów wielkie zdziwienie, lecz i radość zarazem. Doktór był nawet z powodu tego w doskonałym humorze, — utrzymywał, że jego światopogląd nabiera coraz większego religijnego zabarwienia dzięki takim wypadkom, w których naocznie się przekonywa o interwencyi w stosunki ludzkie, sił nadprzyrodzonych...

Engelke także zdawała się być bardzo zadowoloną, lecz stała się trochę więcej nerwową, więcej niespokojną, niż przedtem. Gdy byli sami, niezwykle była chwilami ożywioną i mówiła wiele, żartowała, coś u niej niesłychanego dotąd — chwilami pustym wybuchała śmiechem, jak dziecię swawolne... jednem słowem była zmieniona. Wszystko zaś z jednego tajemniczego zdawało się pochodzić źródła: i wesołość jej i smutek nagły i śmiech pusty... Bergström badał ją pilnie... lecz bezskutecznie...

— Słyszę w duszy jej akord harmonijny — mówił do siebie — lecz to bynajmniej nie

tajemnica urzędowa (Dienstgeheimnis) zamyka biednym naszym nauczycielom usta na kłódkę — przeto drobna tylko cząstka dochodzi do wiadomości publicznej z tego, co się na pohybel naszego żywiołu w polskich szkołach obecnie dzieje.

Ale historya uczy, że dzban tak długo tylko wodę nosi, aż s.ę ucho urwie".

—

„Goniec Wielkopolski" powraca w nr. 150 do kwestyi jawności obrad w Kołach polskich sejmu i parlamentu. Z uwag tej sprawie poświęconych wyjmujemy ustęp następujący:

„Drugą naszą sprawą palącą jest stosunek wyborców do ich posłów w Berlinie, a mianowicie kwestya: czy posłowie zobowiązani są zdawać przed wyborcami sprawę z czynności swoich w sejmie i parlamencie?... Pewnie każdy powie: Przecie wyborcy nie owce — nie mieliby mieć prawa żądania od tych, których posłali do Berlina, aby ci posłańcy zdali potem rachunek z tego, jak sprawy społeczeństwa naszego obrobili? Słuszne to i sprawiedliwe żądanie i pojąć nie można, dla czego większość posłów wzbrania się uznać takowe, mianowicie, że społeczeństwo nasze nie pragnie wiedzieć o każdej drobnostce; nieraz już cierpliwie ono czekało na wyjaśnienie ze strony Koła polskiego i to na wyjaśnienie najpotworniejszych wiadomości, podawanych przez gazety niemieckie, a Koło poselskie milczało jak zaklęte...

Wolno niby każdemu z posłów „na swoją odpowiedzialność" informować swych wyborców, ale Czytelnicy „Gońca W." pamiętają dobrze, że gdy się pojawił jaki artykuł, o którym myślano, że pochodzi z Koł poselskich, jak n. p. ów znany „Intryga górą", to wtenczas pisma ugodowe rzuciły się wściekle i tropiły za... winowajcą, który „zdradził tajemnicę obrad", który złamał solidarność i popełnił inne podobne zbrodnie".

—

Sprawozdawca gnieźnieński „Orędownika" zamieszcza w nr. 150 następującą uwagę z powodu zjazdu Kółek śpiewackich:

„W Gnieźnie spotkałem się z uwagą: czy nie byłoby rzeczą bardzo pożądana, aby podobne Zjazdy nie odbywały się za często. Mieliśmy Zjazd Spiewaków w Gnieźnie, za 2 tygodnie będziemy mieli Zjazd przemysłowców w Poznaniu, — tu i tam podąży znaczna ilość osób tych samych; to jest i za częste i za kosztowne, a co nie mniej ważna — wcale nie potrzebne. Jeden Zjazd na rok to starczy; dwa Zjazdy na rok — to za wiele".

—

„Gazeta Opolska" pisze:

„W sprawie zaburzeń w Mikulczycach napisał ks. proboszcz Waindczoch list do „Schl. Volksztg.", w którym narzeka na bytomskiego „Katolika", a daje do zrozumienia, jakoby narodowo-polska agitacya była przyczyną zaburzeń. Nasze zdanie wobec tego jest takie, że do narodowo-polskiej agitacyi już dla tego samego nie było powodu, że ani ks. Burek, dotychczasowy administrator par. w Mikulczycach, ani ks. Waindczoch do polskich narodowców bynajmniej nie należą, więc nikt nie miał powodu ani za tym, ani za owym agitować. Nawet niemiecko-katolickiej gazecie „Neiss. Ztg." nie wydaje się widocznie odpowiedniem wystąpienie ks. Waindczocha, gdyż gazeta ta zaznacza stanowczo i tłustym drukiem, że sprawa mikulczycka z politycznemi sprawami i z narodowo-polską agitacyą nie ma nic a nic wspólnego, a przeciwnicy ks. proboszcza Waindczocha są większą częścią Niemcami. W Mikulczycach chodziło z jednej strony o ubieganie się o względy ludu, a z drugiej strony o pewną bezwzględność w postępowaniu".

„Co do nas to dziwimy się, że echa walk wyborczych, już przecież dosyć dawno zakończonych, ciągle jeszcze w tym lub owym tonie się odzywają w tak nieprzejednany sposób i że poważne organa niemiecko-katolickie takiem oświadczeniem, jak oświadczenie ks. Waindczocha, bez słowa krytyki od siebie udzielają gościnności".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Czeskie „Rádikalni Listy" piszą:

„Powszechnie daje się zauważyć, że do naszego żywota wdziera się ociężałość niezdrowa. A przecież żadna inna pora nie daje nam tylu przyczyn ku rozmyślaniom i dyskusyom, jak obecna: są to wszystko kwestye pierwszorzędnej wagi, które się na porządku dziennym pojawiają.

„Chodzi o uprawomocnienie projektu podatkowego, drobnemu właścicielowi i robotnikowi tak niedogodnego. Dyskutuje się w parlamencie nad ustawą karną, dotyczącą wszystkich naszych najżywotniejszych kwestyi, tak reakcyjną, iż zdaje się z niej przemawiać duch 17-go stulecia, duch teroryzmu wrogiego wszelkiemu postępowi i cywilizacyi. Powszechnego prawa głosowania brak dziś milionom obywateli; są dalej przede drzwiami wybory do sejmu czeskiego.

„Pomimo to owładnął nas spokój dziwny, niezdrowy. Ruch żywy i energiczny objawia się tylko wśród klerykałów naszych i policyi. Nasza policya zdobywa sobie ogromną powagę. Maluje ona straszydła na ścianach, a ludzie nasi im wierzą. Dość wziąć „Narodni Listy" do ręki, a przekonamy się o tej dobrodusznej wierze w słowa policyi o żywiołach przewrotu, o socyalizmie i internacyonalizmie, — wszędzie widać czarną rękę.

„Stronnictwo klerykalne pracuje według planu doskonale obmyślanego i zorganizowane jest doskonale. Agitacya ta wciska się do naszych towarzystw, do szkół, do literatury.

„Przejrzawszy na wystawie literaturę klerykalną, przerazimy się, widząc jej rozpowszechnienie. Pachołków sobie oddanych duszą i ciałem ma klerykalizm nietylko w księżach, ale i w obywatelstwie. Ci wojowniczo usposobieni halabardnicy walczą przeciw wszystkiemu, co im się nie podoba. Dzisiejszy klerykalizm wyrzekł się zupełnie dawniejszej tolerancyi i kroczy nietylko z gałązką oliwną w ręku ale z pochodnią bojową i mieczem zemsty.

„A jak się wobec tych napastników broni stronnictwo wolnomyślne. Rezolucye i mowy nie wystarczają, trzeba walczyć z przeciwnikami tą samą bronią, którą walczą z nami. W pierwszym rzędzie jest to obowiązkiem ludzi stojących na czele stronnictwa wolnomyślnego. Niechaj tę dziką agitacyą klerykalną piętnują nasze czasopisma ludowe, niechaj pojawiają się tanie broszury, odkrywające fałsze klerykałów, niechaj rozpocznie się czujny przegląd naszych towarzystw i związków.

„Przeciw stotysięcom wydawnictw klerykalnych „Krzyż", „Marya" wydaje się u nas „Lid" i „Ruch", pisma obznajmiające lud z kwestyami politycznemi, socyalnemi i cywilizacyjnemi. Pisma te trzeba szerzyć i rozpowszechniać. Wszystkie nasze towarzystwa powinny dbać o to, w przeciwnym razie lud i mieszczaństwo drobne wpadnie w sieci klerykalizmu. Baczmy na to, aby wielka część naszego ludu na dobre nie utonęła w wodach klerykalnych, — w bagnie bezczynności i ospałości.

„Mamy posłów takich, którzy, przemawiając na zgromadzeniach ludowych, oświadczają, iż są zwolennikami stronnictwa młodoczeskiego, co im atoli nie przeszkadza bynajmniej brać udział w winach klerykałów.

„Jesteśmy przeciwni kandydatom włościańskim, którzy mają bronić rolników tylko, bo wyżej cenimy każdego męża z poglądem samodzielnym, obejmującym nietylko włościan-rolników, ale cały lud. Prawda, że dziś cierpi rolnictwo czeskie, ale niemniej duszno rzemieślnikowi i robotnikowi, wyzyskiwanemu przez kapitał.

„Kandydat na posła powinien mieć zrozumienie dla wszystkich stanów uciskanych, powinien przedewszystkiem mieć to przeświadczenie, iż jego głównem zadaniem jest walka przeciw ciemięzcom a obrona uciemiężonych...."

* * *

„Narodni Listy" piszą z powodu rocznicy spalenia Jana Husa.

„Dziś upływa 480 lat, kiedy w dalekiej Kostnicy nad brzegami jeziora bodeńskiego spalono na stosie jednego z największych i najlepszych synów czeskiej ziemi.

„Hus poniósł śmierć męczeńską w przeświadczeniu, iż prawda była po jego stronie, że śmierć stanie się chwilą odrodzenia ludzkości. Pozostał swoim przekonaniom wierny i poniósł za nie śmierć, której się nie uląkł, choć wiedział, że każdemu groził nią wszechwładny wówczas Rzym, gdy odważył się wystąpić przeciw jego powadze.

Dziś rzeczy idealne nie mają tej ceny jaką miały wtenczas, gdy żył Jan Hus. Mę-

---

wyjaśnia rzeczy... bo i zkąd owe tony, zlewające się w akord?

Pewnego wieczora, tydzień po wyborach, otrzymał on ów oczekiwany list o Nörgaardzie; zaledwie go przeczytał, pospieszył z nim do dr. Pauli.

Zastał oboje w gabinecie doktora: był to piękny z dobrym smakiem umeblowany pokój. W środku pokoju, pod lampą, stało biórko, przy którem siedział teraz doktór, pogrążony w pracy — w końcu zaś, na szezlągu, pod reprodukcyą marzycielskiego „Muzykanta" Giorgione'go, — siedziała Engelke z książką w ręku.

Bergström z uroczystą miną wszedł do pokoju, — mimo całej powagi jednak widać było z oczu wielką radość. Cieszył się już z góry na efekt, jaki listem swoim wywoła. Głęboki ukłon złożył doktorowi, poczem zbliżył się do Engelki. Od pierwszej chwili ścigała wzrokiem jego ruchy: — teraz podała mu rękę, którą on z całą godnością pocałował, przyklęknąwszy na jedno kolano rycerskim zwyczajem. Poczem przysunąwszy sobie do kanapy mały stołeczek, prawie u nóg jej usiadł. Siedział tak przez chwilę zupełnie cicho, przypatrując się dr. Pauli, pochylonemu nad swą pracą. Nawet nie przypuszcza, jaka oczekuje go niespodzianka, jakie to zabawne!

Bergström ujął rękę Engelki w swoję i uścisnął serdecznie, drugą zaś ręką wyjął z kieszeni surduta gładko złożony list, rozwinął go ostrożnie, w zamiarze przeczytania. Zauważył, że Engelke pochyliła się, ażeby zobaczyć, co to jest — po chwili zaś nerwowo wysunęła swą rękę:

— Odgadła! — pomyślał — poczem głośno zaczął:

„Söllerup 26 kwietnia. Drogi przyjacielu!

Pauli spojrzał nań wzrokiem błagalnym: — mój drogi — rzekł — oszczędź mnie jeszcze przez dwie minuty... muszę to skończyć koniecznie. Bergström przestał czytać, zrezygnowawszy. Spojrzał na Engelkę; siedziała blada, z szeroko, jakby z przerażenia otwartemi oczyma. Jak ją to interesowało! Zauważył zadowolony, że jego manewr mu się udał.

Teraz i Pauli zbliżył się do nich.

— Jak męczące są te rozprawy! — rzekł — prawdziwe przepisy kucharskie, nic więcej, jak mi Bóg miły! Gdy się je czyta w rękopisie, takie zdają się być obiecujące...

Gniewnym ruchem odsunął fotel od siebie i szybko parę razy przebiegł pokój.

— „Söllerup" — zaczął ponownie Bergström.

Pauli przystanął.

— Cóż to takiego? — spytał zaciekawiony.

— To jest ten list — odparł Bergström z namaszczeniem.

Pauli nie zrozumiał.

— Wybacz, ale jestem zupełnie głupi w tej chwili. Cóż to za list?

— List od przyjaciela mego o Nörgaardzie.

— Ach tak... całkiem zapomniałem... a więc czytaj, proszę!

— Söllerup dnia 26 kwietnia. Drogi przyjacielu!..."

— Czy zajmujący list?

— Tak sobie... ale pisany jest po mistrzowsku. „Drogi przyjacielu! Niewymownie wdzięczny Ci jestem za to, że wezwaniem swem dałeś mi sposobność, wyrwania się choć na godzinę z mego otoczenia i czas ten, w miłem pozwoliłeś przepędzić towarzystwie. Od dwu tygodni żyję w otoczeniu składającem się z redaktorów pisemek brukowych, z typografów o wiecznie brudnych palcach i głupich minach, lub też z matadorów pieniężnych, którym pieniędzy niedostaje, i chłopów, którym nic nie imponuje. O czem tu mówić z tymi ludźmi? żeby chociaż o Bogu, ojczyznie, o królu, ale gdzie tam! ulubionym tematem rozmowy są ich własne, jak noc brzydkie żony lub dzieci, a do tego częstują Cię i zmuszają spożywać ulubione swoje potrawy, bogowie! co za przysmaki! Utrzymywałeś zawsze, że nietrudną jest rzeczą, oddać się na usługi dobrej sprawie, — chciałbym, ażebyś tego sprobował na prowincyi. Prawica w Kopenhadze o tyle wyżej stoi od tegoż stronnictwa na prowincyi, o ile

czeństwa Husa pojąć w naszym wieku nie umiemy. Mimo to każdy z nas, kto wie, jaką wartość życie posiada i jak wielka jest miłość ku niemu, schyli głowę w proch przed heroizmem i przed duchową wielkością tego męża.

„Hus był założycielem fundamentów, na których wzniósł się język i literatura czeska. Jemu naród czeski wiele ma do zawdzięczenia, to też mamy dość przyczyn, aby przypomnieć sobie olbrzyma — ducha w on dzień, kiedy ciało jego na stosie spalono. Pamięć Husa niechaj nam doda sił do walki, którą dzisiaj toczymy!“

* * *

„Il Pensiero Slavo“ pisze o stosunkach w słoweńskiej Istryi:

„We wszystkich krajach ucywilizowanej Europy większość wyborców posiada większość reprezentacyi. Tymczasem system kuryi wyborczych oddaje nas Słowian istryańskich, znajdujących się w przeważającej większości, na łaskę i niełaskę nielicznej ludności włoskiej. Domagamy się reformy, którąby zniosła kurye, żądamy, ażeby prawo głosowania posiadał każdy mężczyzna, liczący lat 24, ażeby wreszcie na pewną liczbę głosów jeden mandat poselski przypadał.

„Reforma taka jest reformą liberalną, ale czy na nią zgodzą się nasi liberalni Włosi?

Z pewnością nigdy, bo liberalizm ten położyłby na wieczne czasy koniec ich głosowaniu. Italianizm Istryi stałby się pustem słowem.

„Z pewnością, że i Włosi wysyłaliby deputowanych, co jest słusznem i liberalnem. Włosi powinni i mogą być reprezentowani. Mniejszości mają swoje prawo, atoli jeżeli są w mniejszości w kraju, to mniejszość powinni posiadać w sejmie.

„Czujemy się zadowolonymi moralnie, że wobec ucywilizowanych Włochów i Niemców my Słowianie reprezentujemy tutaj element kulturny i liberalny, występując do walki w imię prawa, słuszności i postępu cywilizacyjnego“. *D. K.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza.

III.

Zwróćmy się teraz do głównego wniosku agrarczyków, który służył za przynętę podczas krzykliwej agitacyi ostatnich dwóch lat, do wniosku hr. Kanitza o upaństwowienie handlu zbożowego.

Niegdyś szlachta polska, będąc panem położenia, rozstrzygając samowładnie w polityce, umiała wyzyskać swoje stanowisko społeczne dla swoich klasowych interesów. W tym właśnie celu prowadziła niedorzeczną np. politykę celną, zabijającą w zaczątku przemysł, byleby mieć prawo przywożenia bez opłaty towarów potrzebnych dla siebie. W tym celu żelazną ręką obcinała prawa wolnych kmieci i tamowała rozwój mieszczaństwa. Nie myślimy bronić bynajmniej szlachty polskiej od tych zarzutów, usprawiedliwia ją przecież sam fakt, że nigdy jeszcze żadna klasa panująca inaczej nie postępowała. Natomiast jeżeli historyk niemiecki tylko u Słowian widzi źdźbło w oku, to już teraz nie może widzieć belki w oku swojego szczepu. Na wniosek tak jaskrawo przeczący wszelkiej sprawiedliwości jaki stawiają „najszlachetniejsi narodu niemieckiego“, te „filary porządku“ nie zdobyła się nigdy szlachta polska. Wniosek Kanitza ma cel wyraźny sprowadzenia niebywałych cen chleba. Nędzarze mają płacić za chleb, od ust sobie odejmując, aby uratować od bankructwa nie rolnictwo niemieckie, lecz wielką własność ziemską, uratować garstkę szlachty (bo wielka własność jest przeważnie w rękach szlachty) która się przespekulowała. Dostatecznem jest przytoczyć dla stwierdzenia tych słów brzmienie wniosku. Parlamentowi niemieckiemu został on przedłożony w formie następującej.

Parlament zechce postanowić, aby wezwano kanclerza, by przedłożył możliwie prędko parlamentowi projekt prawa, według którego:

1) Zakup zboża zagranicznego jak również produktów młyńskich, przeznaczonych do użytku w granicach państwa, odbywa się wyłącznie na rachunek państwa.

2) Cena sprzedażna zboża oblicza się według krajowych cen przeciętnych okresu 1850 do 1890 r., ceny zaś produktów młyńskich, według rzeczywistej wydajności, odpowiednio do cen zboża, a to dopóty, dopóki w ten sposób pokrywa się cena kupna; przy wyższych cenach zakupu zaś, cena sprzedaży powinna być odpowiednio podwyższoną.

3) Fundusz otrzymany ze sprzedaży zboża i produktów młyńskich, byłby użyty w ten sposób, aby: a) corocznie wpływała do kasy państwa suma nie niższa od tej, jaka wpływa obecnie z ceł zbożowych; b) aby wyznaczono niezbędne środki dla nagromadzenia zapasów na potrzeby nadzwyczajne (na wypadek wojny i t. p.); c) aby wyznaczono fundusz rezerwowy, któryby zabezpieczał wypłatę sumy (a) przeznaczonej dla kasy państwa, w razie wysokich cen krajowych i zagranicznych.

A więc państwo zakupuje zboże zagraniczne i sprzedaje takowe po cenie raz na zawsze unormowanej w kraju. Jasnem jest, że wtedy krajowe ceny podniosą się do tejże normy. Jakąż jest ta norma? Tabliczka, którą hrabia Kanitz dołączył do swojego wniosku daje odpowiedź. Załączam ją tu w formie, w jakiej przedrukowaną została w czasopiśmie naukowem Schmollera.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	
Gatunek zboża.	Ilość przywozu przeciętnia za lat 10 1884 do 1893 w centnarach podwójnych	Cło według umów handlowych	Dochód z ceł	Ceny w Hamburgu 11 grudnia 1884 bez cła	Cena proponowana	Cena spodziewana ze sprzedaży za centn.	za doroczny dowóz
		Mr.	Mr.	Mr.	Mr.	Mr.	Mr.
Pszenica	6.581.769	3,50	23.035.981,50	10,—	21,50	11,50	75.689.653,50
Żyto	7.143.029	3,50	25.000.601,50	8,20	16,50	8,30	59.287.140,70
Jęczmień	5.735.589	2,00	11.471.178,00	7,70	15,50	7,80	44.737.594,20
Owies	1.910.589	2,80	5.350.108,40	9,70	15,50	5,80	11.082.367,40
Bób	221.005	1,50	331.507,50	10,40	18,50	8,10	1.790.140,50
Groch i wyka	318.678	1,50	478.014,00	10,50	18,50	8,00	2.549.408,00
Gryka	145.799	2,00	491.598,00	10,75	15,50	4,75	1.167.545,25
Słód	705.427	3,60	2.539.537,20	9,70	17,50	7,80	5.502.330,60
Kukurydza	3.574.810	1,60	5.719.696,00	10,—	17,50	7,50	26.811.075,00
Mąka	212.884	7,30	1.554.053,20	19,—	30,—	11,00	2.341.724,00
	26.649.519		75.972.275,30				230.958.979,15

Są to cyfry niezmiernie wymowne. Porównanie rubryk 5 i 6 wykazuje, że agrarczycy żądają, aby konsumenci płacili za najważniejsze cztery zboża o 100 procent więcej niż one kosztują dziś na rynku wszechświatowym. Jeżeli zesumujemy rubrykę 3 i 5 otrzymamy przeciętne ceny (podwyższone dziś wskutek ceł protekcyjnych) na rynku wewnętrznym; pszenica 13,50 mr., żyto 11,70 mr., jęczmień 9,70 mr., owies 11,50 mr.

Porównawszy te cyfry z rubryką 6 widzimy, że agrarczykom chodzi o podwyższenie cen obecnych o 61 procent pszenicy, 42 proc. żyta, 56 proc. jęczmienia, owsa 25 proc. — Dla czego pan hrabia żąda cen oznaczonych w ru-

---

wyższą jest zręczna blaga od głupoty, — a to wiele znaczy. W Kopenhadze pozostaną zawsze konserwatyści — wybacz, że Tobie to mówię — jedynymi, z którymi żyć można. Niestety! — powiesz zapewne i przyznam Ci słuszność, — ale cóż robić? Wiesz dobrze, że lewica wiele mnie już kosztowała.

Nieraz zwierzałem się przed Tobą z najpiękniejszych marzeń swoich i pragnąłem być opozycyonistą zagorzałym, lecz wyobrażałem sobie inaczej całkiem ową opozycyę. Sądziłem, że wśród niej znajdę niegasnący zapał młodzieńczy, serca gorące i szlachetne umysły, — jednem słowem młodość, z mieczem płomiennym w ręku, z wiarą niewzruszoną w zwycięstwo sprawy, wyruszające przeciwko filistrom! Cóż jednak z tych marzeń pozostało? Może ubranie tylko; w rzeczywistości bowiem przejawia się cały kopenhaski radykalizm w noszeniu fraka. Areną jego fumoir'y po dobrym obiedzie, a jedynymi bodźcami zielona „chartreuse“ i cygara hawańskie; tam wypowiada się wiele haseł politycznych i społecznych — nie przeczę — lecz jakie to wszystko bezcelowe, jakie nudne w końcu! Całym „raison dêtre“ tej polityki jest pikanterya i dowcip, podsycane alkoholem. A czyż to nie zwykły koniec u nas wszystkiego, co ma w sobie pierwiastek rewolucyjny?

A gdzież szukać zresztą właściwej opozycyi? Może u socyalistów? lecz ci nie dają nic pewnego, pozytywnego; biedacy ci znają tylko własne swe żale; kto zaś marznie lub z głodu umiera, ten nie żywi nadziei, ten tylko nienawidzi! Może więc u ludowców, owych szermierzy wolności z marsylianką na ustach, lecz z ostygłemi sercami?...

Nie, mój drogi przyjacielu, nie mów mi o opozycyi w Kopenhadze. Jest tylko jedno wielkie stronnictwo, tem jest prawica, a jest ona wszystkiem, gdyż jest jedyną. O tem pamiętać należy. Lecz jednej rzeczy zrozumieć nie mogę; dla czego właściwie, wszystkie nasze piękne przymioty w dusznej atmosferze prowincyi tak wiele tracą? Dla czego piękne nasze maniery stają się tu sztywnemi formami, nasza zwykle tak delikatna wzgarda dla plebejuszów zamienia się tu w pospolite grubijaństwo? dla czego nasz wytworny konserwatyzm, przechodzi tu w najgłupszą reakcyę a za to nasza tak miła obłuda salonowa staje się tu cnotą największą? Rozumie się, że i tu są wyjątki, które tylko jak zwykle regułę potwierdzają. N. p. Nörgaard jest wyjątkiem, bez wątpienia, a to dla tego, że jest wyjątkowym głupcem...

— Oto jest, pełen odpowiedniego nastroju, wstęp listu — wtrącił Bergström.

— Przyjaciel twój złośliwy ma język — rzekł doktór zapalając cygaro.

— To mało — odparł Bergström i czytał dalej: „A teraz przechodzę do opisu wyborów, czynię to tem chętniej, o ile tragiczny los Nörgaarda był rzeczywiście jaśniejszym punktem na horyzoncie ponurym życia naszego... Jest nawet w całej tej sprawie pewien odcień mistyczny, tak pociągający dla umysłów subtelniejszych, a za który należy być wdzięcznym, gdyż atmosfera w Söllerup w zwykłych warunkach takich wrażeń dać nam nie jest w stanie.

Jeśli czytałeś moją korespondencyą w sprawie wyborów, to wiesz już, jaką niespodzianką dla nas wszystkich był ich rezultat, najwięcej zaś dla Nörgaarda. Okręg jest mały, prawie każdy głos był znany, absolutnie więc zwycięztwo konserwatystów było zapewnionem. Przypuszczano nawet, że kandydat radykalny lewicy cofnie swą kandydaturę, widząc swą sprawę przegraną, aż tu, w ostatniej chwili, całkiem niespodzianie Nörgaard przepada, a mandat otrzymuje kandydat umiarkowanych. Rozmaicie tłomaczono sobie tę nagłą zmianę, lecz już na drugi dzień poczęła krążyć pogłoska, która coraz pewniejsze przybierała kształty, aż wreszcie, — jak mię zapewniano — okazała się niczem nie dającym się zbić faktem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

bryce szóstej? Twierdzi on, że są to ceny przeciętne za ostatnie lat 40, a organ agrarczyków „Korespondenz des Bundes der Landwirthe“ twierdzi, że przy tych cenach nikt z głodu nie umarł. Twierdzenie to nie zgadza się z prawdą, bo pomiędzy temi latami były lata nieurodzaju i rok głodu 1847, w którym dosłownie marli ludzie z głodu, srożył się tyfus głodowy. A najelementarniejsza znajomość rachunku wykazuje, że, przy danych z 40 lat, kilka wygórowanych cen wpływa niezmiernie na rezultat. Dziwna rzecz, że pan hrabia nie wziął za podstawę ostatnich lat 100. Jeżeli już szafować cyframi, to hojnie. Drugi argument jest poważniejszy. Pan hrabia twierdzi, że koszta produkcyi żyta, jeżeli liczyć po 800 marek za hektar dobrego gruntu i po 4 proc. od kapitału, wynoszą 15,10 marek. Mniejsze niż proponowane podwyższenie ceny nie doprowadza więc do rezultatu pożądanego.

Przypuśćmy, że obliczenie to jest słusznem (powiadamy: przypuśćmy, bo takie obliczenie wogóle jest dowolnem, nikt bowiem nie jest w stanie obliczyć „przeciętnych“ kosztów produkcyi żyta, która dla większości gospodarstw rolnych w Niemczech nie jest podstawą gospodarstwa, i dla tego koszta produkcyi zależą tu od setki rozmaitych danych, odmiennych dla każdego gospodarstwa), przypuśćmy, że tak jest. Cóż z tego wynika? Po prostu to tylko, że dziś są kraje nadające się więcej do produkcyi żyta i trzeba jej zaprzestać w Niemczech. Tak argumentowano już w niektórych krajach, n. p. w Szwajcaryi, gdzie zaniechano uprawy zboża z chwilą, kiedy okazało się dogodniejszem sprowadzać pszenicę węgierską i dla tego pola przemieniono w łąki i sady. Tak argumentowano zawsze, gdy chodziło o jakikolwiek towar. Ale agrarczycy gotowi odpowiedzieć na to, że rolnictwo jest podstawą produkcyi narodowej; gotowi poprzeć to orzeczeniami monarchów, ministrów, mężów uczonych a nawet poetów, począwszy od Wirgiliusza (na szczęście nie uczynią tego, gdyż jak wiadomo, znajomość literatury nie kwitnie wśród agrarczyków i faworyzowanych przez nich ministrów, o czem przekonały rozprawy parlamentarne). To argument! Ale zobaczmy ile ma kosztować to ratowanie rolnictwa i kogo właściwie ratować zamierza hrabia Kanitz.

Profesor Schmoller w cytowanej pracy tak oblicza koszta tego „ratowania“. W ciągu lat 1888—1892 przeciętny zbiór pszenicy wynosił: 26,5 mil. cent.
przeciętny przywóz pszenicy wynosił 7,4 „ „
Konsumcya zatem 33,9 mil. cent.
przeciętny zbiór żyta wynosił 56,7 mil. cent.
„ przywóz żyta wynosił 7,9 „ „
Konsumcya zatem 64,6 mil. cent.

Licząc zatem ceny wszechświatowe, ludność państwa niemieckiego powinna zapłacić za pszenicę i żyto (licząc po cenie wszechświatowej obecnej za pszenicę 10, za żyto 8,20 marek):

$33,9 \times 10 = 339$
$64,6 \times 8,20 = 530$
869 mil. mrk.

W razie urzeczywistnienia projektu zapłaci zaś:

$33,9 \times 21,5 = 729$
$64,6 \times 16,6 = 1072$
1801 mil. mrk.

Czyli ludność ta za dwa tylko najważniejsze zboża zapłaci więcej niż powinna zapłacić blisko miliard marek rocznie? Ludność cała zamieszkująca państwo niemieckie i każdy poddany płacić będzie tem więcej, im więcej zjada chleba, to jest im jest biedniejszy. A kto skorzysta? — Rolnictwo krajowe — odpowiadają agrarczycy, podsuwając myśl, że te 1000 milionów spłynie deszczem obfitym na całą ludność zatrudnioną rolnictwem. To fałsz. Po pierwsze nie skorzystają z tego najmici wiejscy, nieposiadający roli, a więc nie produkujący zboża. Ta część ludności wiejskiej, a jest to część przeważna, nie odniesie korzyści w żadnym razie. Być może, że zarobki jej podniosą się cokolwiek stosownie do wzrostu cen zboża, ale znaczniejsza podwyżka nie nastąpi. Jest bowiem pewnikiem, że wyższe ceny towarów nie uspasabiają bynajmniej przedsiębiorców do płacenia większej płacy, chyba że zmusi ich do tego brak rąk roboczych lub solidarny nacisk najmitów. W danym wypadku popyt na ręce robocze nie wzrośnie, jeżeli się nie zmniejszy (ponieważ przy wysokich cenach zboża wiele gospodarstw większych od bardziej intenzywnej kultury przejdzie do ekstenzywnej, n. p. zamiast buraków, wymagających wielkiego nakładu pracy ręcznej, przejdzie do uprawy pszenicy w większych niż dotąd rozmiarach). Solidarnego wystąpienia najmitów niemieckie rolnictwo obawiać się nie potrzebuje wobec 1) niskiego stanu kulturalnego tych najmitów, 2) praw obowiązujących które, jak n. p. w monarchii pruskiej stawiają tych najmitów pod przepisy wyjątkowe (Gesindeordnung) nie pozwalające na żadne wystąpienie solidarne. To jedno, a po drugie nie wszystkie gospodarstwa rolne odniosą korzyść z podwyższenia cen zbożowych. Statystyka rolnicza z roku 1882 (landwirtschaftliche Betriebszählung) wykazuje, że istnieje w Niemczech 1) trzy miliony gospodarstw mających mniej niż dwa hektary ziemi. Z tych gospodarstw żadne nie sprzedaje zboża. Część z nich kupuje zboże na potrzeby domu. 2) milion gospodarstw od 2—5 hektarów i 3) milon od 5—20 hektarów. Część tych gospodarstw, szczególniej ostatnich, sprzedaje już zboże, ale część, i to poważna, kupuje, mianowicie gospodarstwa w Saksonii, na zachodzie i południu Niemiec, ciągnące cały dochód z hodowli bydła, ogrodnictwa, winnic i plantacyi tytoniu. Cały zysk zabiorą gospodarstwa mające więcej niż 20 hektarów. Tych gospodarstw jest 306,500. Do nich należy przeszło 50 proc. całej ziemi, i te to gospodarstwa sprzedają całą ową olbrzymią masę zboża, pojawiającą się na rynku krajowym. Te 306,500 posiadłości są w rękach najwyżej 250,000 posiadaczy, stanowiących zaledwie 20 część przedsiębiorców rolniczych. Dla nich to konsumenci mają płacić ów miliard marek kontrybucyi. — Za dawnych dobrych czasów szlachta zmuszała swoich podwładnych do odbywania pańszczyzny, ale też odpowiadała przynajmniej nominalnie za ich byt, w razie potrzeby dwór stanowił ucieczkę dla chłopa pańszczyźnianego. Dziś pan hrabia Kanitz chce zmusić do składania kontrybucyi bez wyjątku wszystkich, którzy są zmuszeni do kupowania chleba w granicach cesarstwa niemieckiego, do płacenia kontrybucyi na korzyść garści przedsiębiorców, którzy nie biorą na siebie zobowiązań względem nikogo, nawet względem najmitów, z których ciągną korzyści. Ta kontrybucya miliardowa, licząc po 2 dwie marki za dzień roboczy, jak to wypada maksymalnie dla Niemiec, wynosi rocznie 500 milionów dni pańszczyzny, które wykona ludność na korzyść wielkich posiadaczy, tych „filarów porządku i najszlachetniejszych narodu“. Zaiste, wielka to reforma społeczna.

A przecież wnioskodawcy znaleźli jeszcze koncept na obronę swego wniosku. Twierdzą oni: „zboże podrożeje, to prawda, ale — cena się unormuje, będzie stałą raz na zawsze i spekulacya będzie niemożliwą“. — Niewiadomo zaiste, czemu się tu dziwić: naiwności czy czelności argumentacyi? Zapewne, wahanie się cen zbożowych nie jest faktem pożądanym, ale ustalenie cen przez podniesienie o 100 proc. wygląda na leczenie bólu głowy przez — odcięcie głowy. W dodatku agrarczycy nie biorą na się odpowiedzialności za daleką przyszłość. Zastrzegają przecież, że ceny będą stałe dopóty, dopóki ceny na rynku wszechświatowym będą niższe od proponowanych przez nich. Co zaś do spekulacyi, to ta zostanie zniesioną tylko dla handlu zawnętrznego, wewnątrz państwa młynarze, piekarze i przekupnie będą spekulowali i nadal, chociaż na mniejszą skalę, boć państwo ma się zająć według projektu

HUGON LE ROUX.

KROKI.

Nowela.

Dom na bulwarach zewnętrznych, w pobliżu fortyfikacyi i pustych placów. Okna wychodziły na jakiś ogród, w którym dwa posągi gipsowe murszały pod pleśnią zieloną. Krzaki lilii więdły połamane przez sznury od wieszania bielizny, przeciągnięte z jednego końca alei na drugi, chwiejące się pod ciężarem świeżo wypranych koszul. W bramie nieustannie rozlegał się dzwonek, brzmiał prawie cały dzień, gdyż do tego biednego domu co chwila ktoś przychodził lub wychodził, jak w każdych koszarach, zamieszkałych przez lud.

Lud surdutów łatanych, artystów nie posiadających żadnych ruchomości, malowniczej cyganeryi wielkomiejskiej, która mimochodem z zazdrością spoglądа na potężnego kształtami robotnika, jak ucztuje w koszuli na werandzie podrzędnej restauracyi.

Po nad moim pokojem mieszkało ich dwóch. Słyszałem ich kroki nademną, rozlegające się po suficie, czułym jak skóra na bębnie. Nigdy ich nie spotkałem w sieni lub na schodach, gdzie wszyscy witają się ceremonialnie. Ale dobra babina, która co rano przynosiła mi dziennik i dwa rogaliki po susie, opowiedziała mi ich historyę.

Mieszkał tam mężczyzna czterdziestoletni wraz z chłopcem, mającym około ośmiu lat, swym synem zapewne. A matka? może umarła, a może była jedną z tych kobiet bez serca, które dla kochanka rzucają rodzinę i dom.

Życie tych dwóch samotników było uregulowane jak w zegarze kolejowym.

Co rano, o godzinie pół do siódmej rozlegały się po nad moją głową kroki ojca. gdzie widocznie była jego sypialnia; ciężko, jakby oszołomiony jeszcze snem, przecinał on pokój na przełaj. Szedł do łóżka dziecka i tu na kilka chwil się zatrzymywał. Przymykając oczy zdawało mi się, że widzę ich obu. Ojciec siadał w nogach łóżeczka i delikatnie dotykał się drobnych nożąt. Dziecko, podnosząc się z posłania, zarzucało ramiona dokoła szyi tego, który w wewnętrznem utrapieniu serca starał się zastąpić czułość matki zmarłej lub zbiegłej.

O siódmej obaj schodzili. Ojciec zamykał drzwi na klucz, a dziecko przypatrywało się temu poważnie. Nie należało ono do tych, które zjeżdżają po poręczy schodów, przeskakują naraz po kilka stopni, wstrząsając całym domem. Zapewne schodzili obaj trzymając się za ręce i szli tak aż do szkoły; potem mężczyna sam już puszczał się do swego kantoru, gdzie przez cały dzień, z duszą pogrążoną we wspomnienia i nadzieje ojcowskie, zarabiał na życie, na chleb i na dach nad głową. Ale słodka to praca, praca dla dwóch. zakończona nadzieją, że wieczorem powrócą obaj do domu, ręka w rękę.

Powracali późno, zawsze razem, i kroki drobne mieszały się z ciężkiemi krokami ojca. Potem słychać było zgrzyt klucza w zamku; liczne kroki tam i z powrotem uwiadamiały mnie, że zapalano lampę i zajmowano się przygotowywaniem wieczerzy. Obaj dźwigali na sobie znużenie całodzienne; a jednak o tej godzinie kroki ich były lżejsze, cichsze nieomal. Były to kroki zapracowanego spoczynku, kroki przebiegające tam i z powrotem wśród wesołej pogawędki, przepełniały one sobą pokój, deptały, niby po ścieżce, po załomach starego sufitu.

Pewnego poranku klucz nie zaskrzypiał w zamku, drobne nożęta nie wyskoczyły z łóżka. Ciężkie kroki zatrzymały się u wezgłowia z pytającą trwogą. Nagle, zbiegły one z pięciu pięter, z wahaniem konia, któremu odebrano stałego towarzysza.

Kiedy moja babina przyniosła mi dziennik i rogaliki, zapytałem:

— Cóż to się stało u sąsiada?

To się stało, że malec zachorował na gardło. Ojciec zawiadomił w kantorze, że nie przyjdzie. Pobiegł po lekarza. Czekałem na

tylko zakupem i sprzedażą hurtowną zboża zagranicznego.

Niektórzy publicyści chcieli dopatrzeć się w projekcie „jądra socyalistycznego“. Z równą logiką możnaby widzieć socyalistę w każdym rzezimieszku. Socyaliści chcą uspołecznić produkcyę na korzyść mas ludowych, agrarczycy zaś chcą upaństwowić handel zbożowy po to tylko, aby państwo stało się maszyną pompującą grosze z kieszeni mas do torby bezdennej wielkich posiadaczy. Projekt ich jest wynikiem polityki klasowej, doprowadzonej do krańca. Dla tego właśnie jest on charakterystycznym, i również charakterystyczną jest odpowiedź nań, pochodząca ze sfer rządowych. Pruska rada stanu, która obradowała pod przewodnictwem cesarza nad środkami polepszenia położenia rolnictwa, i której między innemi projektami przedłożono projekt hrabiego Kanitza, odrzuciła ten wniosek nie dla zawartej w nim zasady, ale dla tego tylko, że jest on niemożliwy ze względu na istniejące traktaty handlowe, i dla tego, że państwo nie może brać na siebie roli dostawcy zboża dla całej ludności, gdyż zadaniu temu sprostać nie zdoła. Co do sztucznego podrożenia zboża i chleba sprawozdanie publiczne rady stanu wyraża się tak: „nie można zaprzeczyć faktowi, że cały dochód z różnicy ceny zakupu i sprzedaży przez państwo, który ma wpłynąć do kasy państwowej i przedstawia zysk obliczony na wiele milionów, ma być dostarczony przez ogół konsumentów. W tem tkwi niebezpieczny środek agitacyjny, którego nie można przy obecnych warunkach oddać w ręce socyalno-demokratycznej agitacyi“. Słowa te tygodnik ekonomiczny „Sociale Praxis. Centralblatt für Socialpolitik“ (Nr. 28) komentuje słusznie w sposób następujący: Tu już nie zwalcza się podrożenia chleba w zasadzie, lecz tylko ze względu na jednę pojedyńczą partyę polityczną, której nie należy oddawać w ręce tego środka agitacyi i to tylko „przy istniejących warunkach““. Doprawdy, dumną może być partya socyalno-demokratyczna z tego sukcesu: chleba podrożyć nie można, bo onaby z tego skorzystała. Strach przed nią nie pozwala wyzyskać mas ludowych i zagarnąć „zysku wielomilionowego“.

Jakim będzie dalszy los wniosku? Oprócz rady stanu zwołanej a d h o c, obradował nad nim parlament niemiecki w dniu 29 i 30 marca i w końcu większością olbrzymią (przeciw głosom tylko socyalnych demokratów i wolnomyślnych) polecił rozpatrzenie komisyi, która obecnie skończyła obrady i większością jednego tylko głosu odrzuciła wniosek, wejdzie on zatem jeszcze raz na porządek obrad parlamentu. Wniosek popierało około 50 podpisów, pomiędzy innemi dwa podpisy posłów polskich: pana Komierowskiego i Kwileckiego.*) Prawie wszystkie podpisy zdobi słówko „von“. — Jednocześnie prawie w obu izbach sejmu pruskiego agrarczycy prowokowali debaty nad położeniem rolnictwa i środkami zaradczemi, i zawsze zaznaczali, że dokonane lub obiecywane ulgi i subwencye, jak zniesienie podatku gruntowego, zniżenie taryfy przewozowej, obietnice kredytu państwowego, premie wywozowe na cukier i okowitę, przepisy utrudniające sprzedaż margaryny i t. d. i t. d. bynajmniej ich nie zadowolnią; że jedynie w projekcie Kanitza i w zaprowadzeniu bimetalizmu widzą zbawienie. — Rząd dotąd zawsze dawał odpowiedź przeczącą na te żądania. Jednakże w końcu obiecano, jakkolwiek z zastrzeżeniami, poczynić kroki w celu zwołania kongresu międzynarodowego w sprawie waluty. Co do wniosku Kanitza zachowano się do końca odmownie. Nie uzyska on więc bezwarunkowo większości w parlamencie, ale to nie przeszkodzi agrarczykom prowadzić dalej za pomocą niego dzikiej agitacyi, a że potrafią ją prowadzić, na to dali dowody. Rezultat będzie ten, że rząd uczyni ustępstwa jeszcze większe i nowe miliony będzie płacił lud, nowe miliony będą pochłaniać bezdenne kieszenie „najszlachetniejszych“, na dowód, że zapatrywanie na państwo współczesne, jako na potęgę stojącą ponad klasami jest idealistycznem urojeniem, bo państwo jest narzędziem w ręku klas panujących. Miliony te jednakże kryzysu nie odwrócą i spiżowe prawa ekonomiczne będą urzeczywistnione w rolnictwie, jak i w innych dziedzinach wytwórczości, sprzeczność interesów będzie powodowała ruinę słabszych ekonomicznie, zamęt będzie wzrastał, antagonizmy będą się zaostrzać, klęski dla osobników mnożyć, aż w końcu rozwój ekonomiczny doprowadzi do nowego ustroju społeczno-politycznego, z którego skorzystają może nie pewne kategorye wytwórców, ale ludzkość cała.

I. B. M.

*) Postępowanie agrarczyków charakteryzuje fakt, że początkowo umieszczono pod wnioskiem jeszcze 6 innych nazwisk polskich, mianowicie nazwiska panów: Chłapowskiego, książąt Czartoryskich, Dziembowskiego, Polczyńskiego i Ślaskiego. Nazwiska te dostały się do dokumentu podobno bez wiedzy tych panów i zostały później wykreślone.

LITERATURA I SZTUKA.

Wystawa obrazów

w teatrze polskim.

I.

Zmiłowały się muzy nad pustkowiem poznańskiem i w gościnę zawitały do nas. Mamy obecnie dwie wystawy obrazów, — jednę niemiecką za berlińską bramą na placu igrzysk przemysłowych, — drugą polską w przedsionku i foyer teatralnem. Pierwsza, zasilona kilkunastu utworami berlińskiej „Nationalgallerie“ przedstawia się pod względem obfitości i doboru obrazów okazalej niż dawniejsze wystawy poznańskiego „Kunstvereinu“ — druga rozszerzyła również miniaturowe rozmiary zimowych miesięcy i stanęła przed nami piękniejsza i poważniejsza niż w sezonie teatralnym. Jest na tej polskiej wystawie kilka dobrych płócien, — jest kilka utworów świadczących wymownie, że artyści polscy zdecydowali się wziąć w roku bieżącym rozbrat z zasadą, by do Poznania nie o b r a z y lecz o b r a z e c z k i posyłać, a lubo „kicze“ i malowanki zawsze jeszczę w zatrważającej występują liczbie, trudno zaprzeczyć faktowi, że wystawa obecna w naszej artystycznej martwocie jest energiczniejszym wyrazem życia.

Zaraz na samym wstępie, po lewej stronie od wejścia, uderza wielkie płótno W y s p i a ń s k i e g o, przedstawiające widok Wawelu o zmroku na plantach krakowskich. Jest to impresya wieczornego oświetlenia. Cały obraz kąpie się w niebieskich, gdzieniegdzie zielonkawych tonach, i oddziałuje silnie tą jednolitością przejrzystego kolorytu i jakimś dziwnie spokojnym, niemal mistycznym nastrojem. Wawel i drzewa w tem niebieskiem zabarwieniu posiadają urok tajemniczego zamyślenia, — nie ma ścisłego odgraniczenia mas jasnych i ciemnych, nie ma wyrazistych konturów, wszystko zasnuwa się mgłą niebieską a przezroczystą, — chłodne, pełne powietrza i ciszy. Nawet żółty punkt gorejącej latarni na środku alei nie świeci w tem morzu niebieskiem, — płomień wygląda jakby zduszony. Jest to bezwarunkowo jedna z lepszych impresyi, jakie widzieć mi się zdarzyło, — trzeba tylko patrzeć na nią zdaleka, aby doznać wrażenia m o m e n t a l n e j prawdy kolorystycznej.

Do tej samej kategoryi twórczości malarskiej należy inny obraz wielkich rozmiarów,

---

niego z równą jak ojciec niecierpliwością. Jakże się spóźniał!

Gdy dziecko choruje na gardło, wiadomo, że to Bóg powołuje je do siebie. Próżno z tem walczyć, otulać ramionami, walczyć z dłonią, która je chwyta. Wyślizguje się ono z twoich objęć: wyślizguje się wolno, ale ciągle, jak woda płynąca; idzie tam, gdzie wszystko się zaciera i ginie.

Och, jakże te ciężkie kroki posuwały się w nieskończonem stąpaniu po pokoju! Nie schodziły one już wcale. Przez cały tydzień, dzień i noc, przechodziły one od łóżka do komina, od komina do stołu, i w końcu zawsze do łóżka wracały. Obiegały je dokoła, dygotały, chwiały się ze znużenia, kręciły się jak kroki szaleńca w klatce: nie wiedziały one widocznie, gdzie się obrócić, gdzie szukać ratunku.

Straciłem sen; mój pokój, który tak lubiłem, bo z jego okien mogłem patrzeć na zachód słońca poza dachy i wieże wielkiego miasta, stał mi się niemiłym. Z tego powodu przez dwa dni puszczałem się do lasku i przypatrywałem się liliom w Chaville i prównywałem ich wzrost z temi, jakie rosły w naszym ogrodzie.

Ze wsi wraca się późno, i znużony moją majówką, spałem dość długo, gdy wielki hałas nad głową zbudził mię zupełnie.

Nademną maleńki pokoik drżał pod ciężkiemi krokami, które rozlegały się także na schodach, jak gdyby tłum ludzi wstępował i zstępował po nich ciągle.

— Widocznie wynoszą się — myślałem. Może i on wywozi swe dziecko na wieś dla zdrowia.

Przyszła mi chęć przypatrzenia im się, gdy będą dom opuszczali. Wyskoczyłem z łóżka i podniosłem firanki. Niestety! przed domem stał czarny karawan. Zarzuciłem go liliami i białe konie zawiozły je na cmentarz. Przez cały dzień, nachylony nad pracą, obok okna, czyhałem na powrót ojca. Zdawało mi się, że takie czekanie jego powrotu jest moim obowiązkiem. W chwili, gdy złamany cierpieniem wstępować będzie na schody, uchylę drzwi, poproszę go, by wszedł do mnie, uścisnę go i powiem mu:

— Nie chcę, byś sam tylko snuł wspomnienia; nigdy nie zapomnę drobnych kroków, posuwających się obok ciebie.

Dzień i wieczór jednak minął, a on wcale nie wrócił. Później zapytywałem się samego siebie nieraz, gdzie ten ojciec przepędził swą pierwszą noc samotną. Kościoły o zmroku zamykają, zamykają też bramy cmentarne.

Nazajutrz wrócił widać, gdy ja jeszcze spałem, gdyż rano usłyszałem ze zdziwieniem, jak wstawał z łóżka o zwykłej godzinie. Ubrał się wśród ruchów, które odgadywałem po krokach, jakie brzmiały nademną. Widziałem niemal jego oczy, jego wejrzenie, jakie rzucił przed wyjściem na puste łóżeczko.

Odtąd odchodził i przychodził jak zwykle. Tylko zjawiał się teraz o wiele później, gdyż nie miał już kogo odprowadzać do szkoły i skręcać ze swej drogi do kantoru; powracał też nieregularnie i stąpał ciężko, leniwie po drewnianych schodach. Zdawało się, że ołowiane podeszwy miał u swych butów. Zakręcał kluczem w zamku powoli, jak człowiek, któremu się wcale nie spieszy do tego, co spotka za drzwiami. Całym ciężarem padał na krzesło i widać, że zasypiał na niem snem pełnym niepokoju, bo rozlegał się co chwila głuchy szelest posuwanego sprzętu, niemal jego skrzypienie. Prócz tego cisza martwa.

Ta cisza wygnała mię z tego domu, z pokoiku, gdzie patrzyłem na krwawy i złocisty zachód słońca. Gdyby był płakał, jęczał, byłbym zdobył się na odwagę i podał mu rękę. Ale on milczał i to milczenie przygnębiało mię niesłychanie; deptał mi serce swemi cięższemi niż dawniej krokami, które już nie przebiegały pokoju i nie zbliżały się do drobnego łóżeczka...

zamieszczony pod utworem Wyspiańskiego, a przedstawiający procesyę kościelną. Autorem jest K o e n i g. Utworowi temu brak jednolitej iześrodkowanej kompozycyi. Pojedyńcze grupy, rozrzucone na obszernem płótnie, nie koncentrują się, nie układają naokół jakiegoś milieu, nie stanowią zwartej całości. „Procesya“ Koeniga jest również rodzajem impresyi. Autor widzi przedmiot swój nie tyle w liniach ile przedewszystkiem w plamach. Tylko frontowe grupy odznaczają się względnie ostrem markowaniem i wyrazistością konturów, głąb natomiast traktowana impresyonistycznie jest rodzajem „malarskiego kleksu“. Obraz to ciepły, bez jaskrawości barw, dobrze stonowany i zdradzający w frontowych postaciach niepośledni talent charakterystyczny.

Naprzeciw płótna Koeniga zawieszono wielki obraz G e r s o n a, zatytułowany „G r o t a ś w. S a l o m e i“. Wśród pieczary złożonej z głazów olbrzymich, do której zagląda kawałek nieba, stoi jakaś postać kobieca w zielonej sukni i szalu brudno-czerwonym, przedstawiająca, o ile z tytułu domyśleć się można, św. Salomeę. Postać tej jedynej ludzkiej istoty w grocie kamiennej razi banalnością i budzi wrażenie figury maryonetkowej. Postać ta wcale nie występuje, — sztuczna, lalkowata i płaska. Podobnie i głazy spiętrzone nie przybliżają się, nie biją w oczy grozą zmartwiałości, więcej dekoracyjnie niż artystycznie traktowane. Nie lubię obrazów Gersona — zanadto mi akademickie, za mało duszy, za mało indywidualizmu tam widzę, — ale posiada on jedną zaletę, której młodsza generacya malarzy pozazdrościć mu może — posiada wielką poprawność i czystość rysunku. Tam jednak, gdzie działać trzeba barwą, światłem, nastrojem, gdzie martwe linie ożywić trzeba właściwą atmosferą, tam Gerson nigdy nie stanie na wysokości zadania, — zwykle poprawny, ale zimny i sztywny technik-profesor. A dusza ludzka pragnie dziś więcej niż kiedykolwiek indywidualnego życia w przedmiotach sztuki. Wybaczymy łatwiej brak „poprawności“ artyście, niż ten chłód akademicki, w którym znać rękę wirtuoza, a nie ma czucia artysty. B ö c k l i n jest dyletantem w rysunku, a przecież jak on mówi do nas, jak nas odurza wonią legendową, jak śpiewa barwą mistyczną i tym dziwnym panteizmem utworów swoich...

S t a n i s ł a w B i e ń k i e w i c z nadesłał obraz pod tytułem „Ś w. C e c y l i a“. O ile sobie przypominam znajdował się przed dwoma laty na wystawie naszej utwór religijno - historyczny tego samego artysty, wyobrażający jakąś scenę w grocie św. Nikodema. Obraz ten zalecał się precyzyą i subtelnością wykończenia, dobrą modelacyą figur i soczystością kolorytu a zdradzał pojmowanie klasyczne na wzór słynnego D e l a r o c h e. Wystawiona obecnie „Św. Cecylia“ przypomina w pojęciu „Grotę św. Nikodema“, ale pod względem techniki ustępuje znacznie utworowi temu. Twarda i martwa w kolorze nie odznacza się ani głębszą charakterystyką, ani dokładną modelacyą i zaledwie w kilku drobnych szczegółach wykonania zasługuje na uznanie. Znacznie lepszym jest portret dziecka A l e k s a n d r a A u g u s t y n o w i c z a. Pomijając ręce błędnie narysowane, zaleca się ten portret dobrym wyrazem i naturalną karnacyą twarzy o lekkich refleksach z niebieskiej sukienki. W tej główce dziecięcej jest wiele delikatnej słodyczy i głębokiej ciszy. Z wyjątkiem Bilińskiej „Czwartaka“ może to najlepszy portet na wystawie naszej.

W. R.

W setną rocznicę
trzeciego rozbioru Polski.

(Podług rozprawy Ppilippsona i Sorela „O pokoju Bazylejskim“).

(Dokończenie.)

Tymczasem w Bazylei rozpoczęły się układy pełnomocnika pruskiego von der Golz z posłem francuskim Barthélemy. Dyplomata francuski porozumiał się całkiem z dworem berlińskim a nawet uczynił propozycyę, by Niemcy północne z prawego brzegu Renu, tak daleko jak je Prusy zająć zechcą, ogłoszono w obrębie linii demarkacyjnej za neutralne. Lecz komitet „zbawienia publicznego“, słusznie wywnioskowawszy z postępowania polityków berlińskich chwiejność i chęć zawarcia jak najprędszego pokoju, mniej okazał się pohopnym do układów — a nawet usiłował wymódz na Prusach jeszcze większe ustępstwa. Jako też w czerwcu stawił ultimatum, na mocy którego miały prowincye pruskie nad lewym brzegiem Renu dzielić los po tej stronie położonych prowincyi, należących do rzeszy niemieckiej, — i to bez obietnicy indemnizacyi; — linię demarkacyjną całkiem pominięto milczeniem. — Podobny układ byłby hańbą dla Prus, a wielce wątpliwą było rzeczą, czyby Fryderyk Wilhelm i jego minister ośmielili się go odrzucić. — Szczęściem w miejsce zmarłego Golza wysłano do Bazylei śmielszego Hardenberga, który, mając wprawdzie mocą instrukcyi rządowych ręce związane, położył wszakże tę zasługę względem Prus, iż uczynił pokój Bazylejski nie tak jawnie upokarzającym dla nich. — Nie ustraszył się ultimatum, stawionego przez rząd francuski, lecz obstawał przy tem, by zażądano od Prus ewentualnego odstępstwa krajów w sposób godniejszy, nie uwłaczający ich samodzielności, a straty wynagrodzono; — żądał również przeprowadzenia linii demarkacyjnej, ogłoszenia neutralności północnych Niemiec pod opieką Prus oraz obietnicy przyznania tejże opieki wszystkim tym książętom panującym, którzy w przeciągu trzech miesięcy po zawartej ugodzie jej zażądają. Tym sposobem stałyby się Prusy i bez przymierza z Francyą władcami północnych Niemiec, a może nawet i c a ł y c h Niemiec, w razie, gdyby licząc na neutralność, uwolniły się od wpływu Austryi. Komitet „zbawienia publicznego“ nie okazywał początkowo najmniejszej ochoty do zapewnienia Prusom podobnego stanowiska bez żadnego wynagrodzenia; — szczęściem spory między francuskimi terorystami przyszły Hardenbergowi w pomoc. Rząd francuski, obawiając się wybuchu powstania Jakobinów, które też rzeczywiście nastąpiło 1-go kwietnia, czuł gwałtowną potrzebę pozbycia się zewnętrznego nieprzyjaciela i zdobycia sobie w obec narodu zasługi stworzenia dzieła pokoju. Jako też 31-go marca otrzymał Barthélemy pełnomocnictwo, mocą którego przyjąć miał warunki, stawiane przez Hardenberga. Tymczasem spór Rosyi z Austryą, wywołany kwestyą polską, groził lada chwila jawnym wybuchem. Alvensleben nie mógł przeto już dłużej czekać za tą chwilą, w której ostateczne zawarcie pokoju z Francyą dałoby możność wojsku pruskiemu wyruszyć ku Wiśle, udzielił więc Hardenbergowi wskazówek, nie dozwalających mu wyzyskać należycie położenia i zapewnić Prusom jeszcze większych korzyści. Dnia 5-go kwietnia r. 1795 o godzinie 6-tej wieczorem podpisano pokój bazylejski, mający wywrzeć wpływ olbrzymi na zewnętrzne zorganizowanie się Prus jako też i na historyę całej Europy. Z chwilą tą zaczyna się dla Prus zupełnie nowa karta dziejowa. Wyprawa przeciw rewolucyi została zniweczoną; bractwo „pietystów“ czyli t. zw. „Rosenkreuzerów“,*) dające do niej hasło, odniosło wobec świata całego sromotną klęskę, — klęskę tem bardziej upokarzającą, im większą była pewność zwycięstw i tryumfów. Prusy niechęci ku ideom rewolucyjnym, w miarę, gdy wojna otwarta

*) Stowarzyszenie w Niemczech, zawiązane w początkach XVII wieku, mające na celu reformę Kościoła, dobro państw i jednostek. Założycielem jego był Jan Walentyn Andrea, który w broszurach swych i różnych pismach ulotnych używał pseudonimu „Ritter von Rosenkreuz“, gdyż stosownie do swego nazwiska pieczętował się krzyżem św. Andrzeja i czteremi różami, mającemi być symbolem dochowania tajemnicy. W jednej z broszur swoich zużył swego pseudonimu do utworzenia legendy o pewnym rycerzu niemieckim K r y s t y a n i e R o s e n k r e u z, który przy zwiedzaniu wschodnich krajów dowiedział się od mędrców indyjskich tajemnic filozoficznego kamienia. Od tej legendy zapożyczyło sobie Stowarzyszenie swego miana. W XVIII wieku bractwo to przybrało charakter mistyczno-pietystyczny.

z niemi ustawała, a republika nabierała charakteru więcej konserwatywnego i spokojniejszego, już nie okazywały i stały nawet w rażącem przeciwieństwie do dwóch obrońców legitymizmu: cesarza i carowej.

Dla stosunków europejskich w ogólności, w szczególności zaś dla stosunków niemieckich, stał się pokój bazylejski istotnem potwierdzeniem reform społecznych, wszczętych przez rewolucyą.

Rząd pruski w chwili zawarcia pokoju świetne sobie na przyszłość rokował nadzieje. Spodziewał się we Francyi zwycięstwa „umiarkowanych“, a z niem zrzeczenia się „naturalnych granic“, t. j. zwrotu lewego nadbrzeża Renu i ograniczenia się na zdobyczach belgijskich, spodziewał się dalej połączenia całych poza-austryackich Niemiec pod swojem zwierzchnictwem, jednem słowem marzył o tem wszystkiem, co dopiero „krwią i orężem“ zdobył w r. 1866, — lecz mrzonki te rozwiały się szybko. W Paryżu, ponownie owładniętym przez żywioły radykalne, zażądano stanowczo posiadłości niemieckich, a południowe Niemcy w żaden sposób uznać nie chciały hegemonii Prus, czyniąc im zarzut, iż dla osobistych korzyści zaprzedały Francyi interesa całego cesarstwa. Zarzut ten zbyt ostry winny były Niemcy południowe sobie wpierw uczynić, pomnąc, iż nie dość energicznie zbroiły się przeciw Francyi, afiszując jedynie swój patryotyzm w podniosłych mowach i szumnych frazesach. Widoczna niechęć Austryi zmusiła Prusy do zawarcia pokoju bazylejskiego.

Lecz bądź co bądź, nie można zaprzeczyć faktowi, iż ostatnia ta ugoda dała hasło do upadku koalicyi, do zupełnego jej rozprzężenia, a nawet do stanowczego zburzenia zgrzybiałego cesarstwa niemieckiego.

Rozkład państwa niemieckiego musiał nastąpić niechybnie z chwilą, gdy jego najpotężniejszy członek wycofał z wszelkich zobowiązań wojennych nietylko siebie, lecz i całe Niemcy północne, — a nawet rzec można, obiecał nagrodę innym państwom niemieckim za podobne złamanie konstytucyi.

Pokój bazylejski działał w charakterze rewolucyjnym, bo gdyby nie on, gdyby nie wycofanie się Prus i Niemiec północnych z wojny przeciw Francyi, — nie święciłby tryumfów Bonaparte i Moreau, nie mógłby urzeczywistnić się związek nadreński, nie nastąpiłby upadek prastarej, dziedzicznej godności cesarskiej: — pokój bazylejski pociągnął za sobą to tak ważne następstwo, iż wykluczył Austryą z Niemiec i przyczynił się do zupełnego zreformowania ostatnich pod przewodnictwem Prus.

H. S.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Zmateryalizowanie społeczeństwa.

I.

Filozofia materyalistyczna została już całkowicie odrzuconą przez oficyalnych reprezentantów nauki. Profesorowie z katedr uniwersyteckich mówią o niej jako o zjawisku przeszłości, przyznając jej jedynie historyczne znaczenie. Wychowańcy wszechnic europejskich opuszczają audytorya z przekonaniem, że materyalistyczne koncepcye filozoficznej myśli już są dziś pogrzebane na zawsze, że duch ludzki przeszedł nad niemi do porządku dziennego.

A jednak pomimo tych wyroków śmierci, — gorzej nawet, bo nekrologów, — materyalizm żyje i silniejszy on dziś, niż kiedybądź indziej.

Wypchnięty z uniwersytetów nie stracił nic na swej żywotności, — przeciwnie, zyskał jeszcze na potędze, bo stał się najogólniejszym w inteligentnych sferach światopoglądem.

Przyjrzyjmy się jeno dzisiejszej publicystyce

zachodnio-europejskich krajów. Nie zajmuje się ona specyalnemi kwestyami filozofii. Nieraz jednak przychodzi jej mówić o zagadnieniach, wkraczających w dziedzinę etyki, psychologii jednostkowej i zbiorowej. Daje jej pohop ku temu sensacyjny proces, głośne odkrycie naukowe, efektowny wynalazek technologiczny, czy też nowa ekspedycya w głąb krajów nieznanych. Za każdym razem zapełniają się wtedy łamy dzienników utartemi ogólnikami o prawach fizycznych, co wszechświatem rządzą, o drugorzędności zjawisk duchowych, co są jedynie refleksem procesów fizyologicznych, o bezwarunkowej zależności wszelkich form społecznego bytu od materyalnych form produkcyi... Publicysta głoszący te zdania pewnym jest, że czytelnik przyjmie je z takim samym spokojem, z jakim przyjmuje twierdzenia, że ziemia się około słońca obraca, a skład chemiczny wody jest H_2O.

I nie dziw. W średnich i wyższych zakładach naukowych uczono go, że kolorów i dźwięków w świecie objektywnym nie ma, że są jeno takie lub inne drgania eteru, dłuższe lub krótsze fale powietrzne, co mu złudzenie tych zjawisk dają, że ciepło, elektryczność i ich przejawy, to jedynie ruchy atomów. A gdy przyswoił on sobie ten łatwo strawny, lecz gruby pokarm duchowy i zdobył patent na skończonego inteligenta, podają mu znów tę samą karmę dzienniki „co słodycz jego kawie, moc jego piwu nadają“.

Parę wszakże razy do roku przypomina sobie ów porządny, o wyrobionem stanowisku, stateczny mieszkaniec wielopiętrowej kamienicy miejskiej, że kraj, w którym żyje, posiada parlament, że on sam obdarzony jest prawem wyborczem i tem samem ma moralny obowiązek kontrolowania wybranych przez się deputatów. Polityczne jego sumienie z paromiesięcznego uśpienia budzi projekt jakiegoś nowego podatku, lub umowy dyplomatycznej o traktatach handlowych z którem z państw ościennych, czasem nowela szkolna, a już bardzo rzadko projekt reformy wyborczej lub praw dotyczących stowarzyszeń, prasy, wolności słowa*). Wtedy przerzuca on w kawiarni, klubie lub restauracyi dziennie całe dziesiątki pism, szukając w nich rad, wskazówek i informacyi co do prawdziwego stanu rzeczy.

A publicyści wszelkich odcieni przekładają mu odnośny projekt prawa na język monetarny, przekonywując go o stratach lub zyskach, które dlań wyniknąć mogą z nowego prawa. Jest to bodaj jedyny dogmat polityczny, na który się wszystkie obozy dziś zgadzają, że najpierwszem, podstawowem uzasadnieniem wszelkiego prawodawstwa, wszelkiej reformy państwowej jest wypływająca zeń korzyść materyalna. Niemcy, brutalniejsi lecz szczersi, nie żenując się, mierzą honor narodowy, oświatę i wolność słowa na talary, marki i guldeny. Francuzi zachowali dawną swą, przez wielką rewolucyę stworzoną retorykę polityczną. Lecz honor w ich ustach, to honor kupiecki, którego najgorszą plamą jest bankructwo, sprawiedliwością dla nich uczciwość kupiecka, co jeno legalnych zysków się domaga, a wolnością swoboda transakcyi. I takeśmy wszyscy do podobnego traktowania spraw publicznych przywykli, że nas to już ani smuci, ani dziwi. Takie to się nam wydaje naturalne, konieczne, ba! nawet jedynie rozumne, że wszelkie odwoływanie się do ideałów etycznych zwiemy marzycielstwem, romantyzmem niedozwolonym w polityce. Dopiero, gdy przypadkiem zetkniemy się bliżej z publicystyką polityczną pierwszej połowy naszego stulecia — z pamfletami Heinzena, Struwego, Wirtha, z mowami Feuerbacha, Kossutha widzim naraz ze zdziwieniem, że można do narodów przemawiać, porywać je, a nawet roznamiętniać, wzywać do poświęceń największych w imię celów idealnych, że narody „ideologów“ tych uważnie słuchają i słowa ich rozumieją dobrze, choć nie ma w nich mowy o interesach materyalnych.

A przecież były to czasy, w których materyalizm posiadał najdzielniejszych przedstawicieli w filozofii. Z negacyą dawniejszych form społeczno-politycznych łączyło się przeczenie poprzedniej filozofii, z szukaniem nowych dróg życia narodów szukanie nowych torów dla filozoficznej ich myśli. Apostołowie materyalistycznej filozofii byli uczuciowymi idealistami, co bez wachania poświęcali swój dobrobyt, spokój i wolność osobistą w imię swych zasad. Logiczna ta sprzeczność nie jest bynajmniej sprzecznością psychologiczną. Stanowisko rewolucyjne nowonarodzonej, walczącej o swe prawa burżuazyi, musiało pchać teoretyków jej do walki z wszelkiemi przejawami dawnej cywilizacyi. Jednym zaś z nich była idealistyczna filozofia, we Francyi Bogu, w Niemczech państwu służąca, chociaż i w Niemczech nie zapominał Hegel swe prawo tezy, antytezy i syntezy z dogmatem Trójcy św. połączyć. Do negatywnego tego względu przyłączał się jeszcze pozytywny motyw. W rzeczy bo samej ówczesny liberalizm walczył o zwycięztwo potęgi pieniędzy nad przywilejem urodzenia, o wolność konkurencyi, o prawo przedstawicielstwa w rządach interesów ekonomicznych, jednem słowem o tryumf bezpośredniej siły materyalnej, streszczającej się w bogactwie, nad pośrednią siłą materyalną, co przez urodzenie dawała przywileje potomkom mocniejszych niegdyś pięścią zaborców. Lecz ci, co o ten tryumf potężniejszych sił ekonomicznych walczyli, sami byli przedewszystkiem żołnierzami nowych idei. Walczyli oni nie w imię swych zysków osobistych, jeno o prawa swej klasy. Pracując dla tryumfu egoistycznych dążeń swej **w a r s t w y**, sami wyzbywali się egoizmu **i n d y w i d u a l n e g o**. I tylko ludzie pełni zapału i wiary w swe siły mogli stworzyć tak radykalny, tak do ostatnich tajników bytu sięgający system filozoficzny, jakim jest materyalizm. Nie było dla nich granicy, przed którą by się musieli zatrzymać. Idealizm dochodził zawsze w ostatniej swej instancyi do Boga — mniejsza jak rozumianego — zawsze niepojętego — materyalizm sądził, iż materyę samą jest w stanie zrozumieć.

Dziś jest inaczej. Liberalizm stał się panującym, równocześnie jednak zmienił się on zasadniczo. Odrzucił swe przesłanki, o punkcie wyjścia swych żądań zapomniał, a zachował jeno swe konsekwencye. Prawa człowieka mało go obchodzą, neguje je nawet z dniem każdym gruntowniej; natomiast pilnie strzeże przywilejów, które potęga ekonomiczna gwarantuje posiadaczom narzędzi i materyałów produkcyi.

Takiż sam los spotkał i materyalizm. Gdy ostatecznie już zwyciężył, gdy stał się panującym w „inteligentnych“ sferach światopoglądem, gdy przestał być oznaką „nielojalności“ swych wyznawców, odrzucił on wtedy swą ontologiczną i teoretyczno-poznawczą podstawę, zachował jedynie konsekwencye swe w dziedzinie etyki, psychologii i socyologii i nazwał się pozytywizmem.

II.

Dziwną jest dola pozytywizmu. Żadna inna chyba doktryna filozoficzna nie była tak powszechnie, jak on, niezrozumianą. Jedni, mianowicie idealiści, identyfikowali go z materyalizmem, — drudzy, szara masa jego wyznawców, widzieli w nim silniejsze nawet niż w idealizmie przeczenie materyalizmu.

I jedni i drudzy mylili się gruntownie, bo rozpatrywali go jako zjawisko samo w sobie. Zrozumieć zaś pozytywizm można wtedy tylko, gdy go związkiem w ścisłą łączność z całą kulturą, która go wyłoniła. Rozpatrywany oddzielnie jest on pełen sprzeczności niewytłomaczalnych. Jako produkt swej epoki jest całkiem jasny i wyraźny.

Zasadnicza sprzeczność pozytywizmu polega w agnostycyzmie jego z jednej, a monizmie z drugiej strony. Najpierwsza przyczyna wszechrzeczy jest podług niego niepoznawalną dla umysłu ludzkiego.

Jeśli jednak „les choses primaires“ są poznaniu naszemu niedostępne, nie możemy tem samem wiedzieć, czem jest wszechświat, niezależnie od naszej świadomości. Nietylko nie mamy wtedy prawa za istotę jego ducha lub materyę uznawać, lecz również nie możemy go zwać jednością lub wielością.

Sprzeczność ta stała się w swych konsekwencyach jeszcze więcej rażącą i widoczną. Monizm musiał mianowicie przybrać formę monizmu materyalistycznego. Z natury bowiem rzeczy — odrzuciwszy wszelką ontologię — pozytywizm główną wagę położył na nauki konkretne. Będąc zaś koncepcyą monistyczną, musiał równocześnie dążyć do połączenia wszystkich poszczególnych dyscyplin w jednę całość, szukając łącznika, co je wiąże z sobą nie poza niemi, lecz w nich samych. W ten to sposób powstaje owa sławna klasyfikacya nauk Comta i Spencera. Typem wszakże nauk konkretnych są nauki przyrodnicze, położył je też pozytywizm w podstawie swego systemu nauk. — Niezbędną tego konsekwencyą jest ciążenie pozytywizmu do materyalistycznego traktowania zagadnień psychologicznych i społecznych. Chcąc je bowiem z naukami przyrodniczemi w jedną całość połączyć, musi on je tym ostatnim podporządkowywać, a tem samem w zjawiskach życia duchowego, indywidualnego i zbiorowego widzieć jedynie przejawy praw fizycznych. Klasycznym dowodem powyższego jest zupełne ignorowanie przez Comta psychologii, której nawet w swej klasyfikacyi nauk nie pomieścił, oraz pogląd Spencera na społeczeństwo jako na istotę materyalną, co w podstawie jego teoryi organizmu społecznego leży.

W taki to sposób pozytywizm, — co w założeniu swem wszelkiej, a więc i materyalistycznej, ontologii przeczy, — dochodzi w rozwoju swym do nawskroś materyalistycznej psychologii i socyologii, oraz wynikowej obu tych nauk — etyki.

W sprzeczności tej leży źródło niezrozumienia pozytywizmu. Jest on bowiem materyalizmem i nie jest nim zarazem.

I dziwnem musi nam się w pierwszej chwili zdawać, że tak dzielne zkąd inąd umysły jak Comta i Spencera dopuściły się tak podstawowej i wyraźnej niekonsekwencyi. — A jeszcze dziwniejsze, że pomimo rażącego tego błędu zyskał pozytywizm tak powszechne w kołach inteligencyi uznanie.

Lecz również dziwne, że liberalizm, co wolność, równość i braterstwo wypisał był niegdyś na swym sztandarze, dziś stwarza prawa wyjątkowe przeciwko robotnikom, Polakom, Alzatczykom, broni istniejącej w Austryi ordynacyi wyborczej, popiera cenzurę prasy, uznaje monopole finansowe. A przecież to wszystko przeczy i wolności i równości i braterstwu.

Ale bo też te dwa zjawiska ducha ludzkiego — liberalizm dzisiejszy i pozytywizm jednę i tę samą mają historyę i taką genezę. — Oto są one koniecznemi produktami dzisiejszej cywilizacyi, co się wyłoniła ze zwycięstwa stanu trzeciego i reprezentowanych przezeń dążności gospodarczych.

W dziedzinie filozoficznej myśli, zarówno jak i gospodarczych i politycznych swych dążności, cywilizacya dzisiejsza żąda przedewszystkiem spokoju i porządku. Przemieniwszy się z żołnierza liberalizmu w obywatela korzystającego z udzielanych mu przez liberalizm przywilei — zapragnął przedstawiciel klas panujących niezamąconego niczem spożywania płodów nauki.

A cóż mu je łatwiej zapewnić może jak rezygnacya ze wszelkich dociekań ontologicznych? I ztąd to pochodzi agnostycyzm pozytywizmu. Wyparła się burżuazya ontologii materyalistycznej, bo myśl sięgająca do głębin wszechświata zbyt śmiała jest, zbyt niespokojna. I nietylko ontologii znać ona nie chce, lecz i wszelkich dróg, co do niej prowadzą; — a hasłem jej: „precz z metafizyką!“

Agnostycym obecnej burżuazyi, t. j. pozytywizmu, — nie jest jak widzimy rezultatem logicznej analizy siły naszego poznania, lecz tajemną dążnością ducha spokojnych, dobrze sytuowanych obywateli. Każdy z nich, skromy w swych ambicyach, nie sięgający po nad to, co mu empirya daje, raduje się z poznania, że ciepło, i światło, i elektryczność, i reakcye chemiczne już dlań zagadką być przestały, a prawa ich, chociażby jedynie w postaci hypotez są mu wiadome.

I jeszcze więcej cieszy się, że wszystkie

*) Patrz ostatnia kadencya sejmu niemieckiego: podatek tytuniowy, a ustawa antyprzewrotowa.

te teorye z dniem każdym w tysiącach nowych wynalazków sprawdzian swój znajdują. Z dumą przeciwstawia on dzisiejszą „pozytywną“ wiedzę dawnym bezpłodnym badaniom „okresu metafizycznego“, z których żadnej realnej korzyści nie było. Chełpi się setkami nowych farbników, dostarczanych mu przez chemię, nowemi maszynami dynamo-elektrycznemi, które fizyka i mechanika stwarza, — odkryciami nieznanych jeszcze kultur bakcylusów w laboratoryach medycznych lub przyrodniczych. — Ale bo też chce on przedewszystkiem w spokoju ze zdobyczy wiedzy korzystać i to ze zdobyczy konkretnych, namacalnych, materyalnych — co mogą ludziom ułatwić, uprzyjemnić życie. Dociekania zaś przyczyn wszechrzeczy sen odbierają, humor psują, niepokój na duszę nawodzą.

Tak więc żądza spokoju nakazała dzisiejszym inteligentnym klasom wyrzec się poznania „rzeczy pierwszych“, hołdować monizmowi, co wszystko w jedną piękną całość łączy, żadnych niepokojących luk nie pozostawiając, wreszcie w podstawie całokształtu naukowego gmachu położyć nauki przyrodnicze. — Nić zaś historyczna, co ją z pokoleniem rewolucyi mieszczańskich wiąże, stworzyła na pokrycie tej rażącej sprzeczności ową nader wygodną lecz również płytką zasadę: „Materyalizm jako doktryna ontologiczna jest błędny, lecz jako metoda badań jest on w naukach pozytywnych całkiem uprawniony“.

Czyż więc nie mieliśmy racyi, że materyalizm dziś żyje i panowanie jego powszechniejsze, niż kiedybądź było.

Wyparł się on swego punktu wyjścia, lecz zachował wszystkie swe konsekwencye.

Stracił on na głębokości filozoficznych swych podstaw, lecz w zamian za to stał się wyznaniem wiary wszystkich lojalnych obywateli kraju. Zmienił nawet swą oficyalną nazwę — tem silniejsze jednak zapuścił korzenie w moralności indywidualnej i społecznej nowożytnych narodów.

Str.

Ze Szląska Polskiego.

(Tęsknota za zielenią — Duchy koronę polską odkuwające. — Żądanie zakazu odbywania teatrów polskich. — Brak polskiego pisma dla robotników. — Niedostatek agitacyi osobistej.)

Kto się urodził w ziemi wieluńskiej, której cechą charakterystyczną są niezrównanej zieloności łąki, dobroczynne dla oka, przecudne łąki, a jak ja obecnie siedzi niby w kuźni piekielnej, w Królewskiej Hucie, gdzie wszystko czarne, jak ten węgiel kamienny niezliczonemi krociami z ziemi wydobywany, ten jakąś ogromną niemal chorobliwą tęsknotą rwie się do łąk i zieleni, której tu ani śladu, a o której serce we śnie i na jawie bezustannie śni i marzy.

Jasność słoneczna i gwar dzienny nie pozwala za dnia dostrzedz istotnych znamion tutejszej okolicy. Późnym wieczorem dopiero lub nocą przedstawia się oczom potężny i w swoim rodzaju wspaniały widok. Jak okiem sięgniesz, nic jak kominy dymiące, ogniem buchające piece, światło elektryczne, przeraźliwy świst piszczałek parowych, niezliczona ilość młotów spadających, kotłów brzęczących, syk pary, turkot lokomobil, — a wszystko to niby na tle zorzy skąpane w łunie ognistej, bijącej z tysięcy świateł i piecy, dudni, skrzypi przeraźliwie, syczy i trzaska. Bezwiednie prawie nasuwa nam się pytanie: czego oni tak się spieszą, co kują tak zawzięcie? A jeżeli znasz ducha, który te czarne postacie około tych piecy i ogni się krzątające ożywia, jeżeli uczciwie po polsku czujesz, mimowoli wspomnisz na podanie ludowe, tam, gdzieś w Tatrach zasłyszane nad pięciu stawami, i zapytasz się, czyli to nie duchy, koronę polską odkuwające... A tak, istotnie! Po uznojonych twarzach, po ramionach silnych i od wysiłku nabrzękłych poznasz, że w tych tłumach tkwi jakaś siła przyszłości, przed którą zadrżą nawet granity. Większość tu coprawda „Szlązaków polskiego języka“, lecz i pokaźna liczba tych, którzy nazwę Polaka z chlubą noszą i którzy kując młotem wiedzą, że i oni zapełniają tę szczerbę pięciowiekową, powstałą w koronie przez oderwanie Szląska od pnia macierzystego.

„Königshütter Ztg.“ czuje przez skórę, że nie wszystkie uderzenia tych czarnych postaci celu chybiają. Gniewa ją praca, gniewa ją i ich zabawa. Niedawno temu donosiła żałosnym głosem, że aż trzy przedstawienia teatralne polskie w jedną niedzielę w Król. Hucie się odbyły. Aż w trzech miejscach „w u r d e p o l n i s c h g e m i m t“, a dodaje w końcu, że rząd na tego rodzaju rzeczy w Król. Hucie, którą niby fortecę na polskim oceanie przez Niemców i dla Niemców wzniesiono, wogóle pozwolić nie powinien. Coraz to lepiej! Panowie zaborcy drżą na widok każdego pieca polskim ogniem podsycanego i pragnęliby go w puch rozbić pałką policyjną a dzielnych palaczy w własnych piecach usmażyć.

Brak tu niestety dostatecznej liczby inteligencyi, któraby chciała i potrafiła stawić czoło wycieczkom zaciekłych germanizatorów w guście „Königshüterki“. Stan robotniczy polski, w tutejszej okolicy najliczniej może się znachodzący, niema dotąd swego organu. Jako dodatek do „Katolika“ wychodząca „Praca“, zresztą bardzo starannie redagowane pisemko, zajmuje się jedynie ekonomicznemi sprawami robotników, zostawiając potrzeby obyczajowe a mianowicie i stronę narodowościową na łasce losu. Czas by był rozszerzyć ramy „Pracy“, cieszącej się w kołach robotniczych zasłużonem zaufaniem, do rozmiaru samodzielnego i w zastósowaniu do potrzeb polskiego robotnika wszechstronnego pisma. Osobista agitacya redaktorów resztę powinna zrobić. Patrzeliśmy na takąż agitacyą w Opolskiem i dziś śmiało powiedzieć można, że Opole, o którem nie bez pozorów trafności powątpiewano, czy utrzyma pismo polskie, dziś pod względem polskości prym trzyma, jeżeli nie co do liczby, to z całą pewnością co do owoców pracy. Osoba każdego redaktora, już dzięki tytułowi swemu, niepospolitem cieszy się zaufaniem. Z zaufania tego i przywiązania ludu, należy korzystać. Ruch socyalistyczny nie byłby urosł do dzisiejszych rozmiarów, gdyby na usługach swoich nie miał pod dostatkiem światłych i odważnych apostołów. Duch czasu wymaga agitacyi osobistej w równej mierze od kupca, który nie czekając na konsumentów z dalekich stron z próbkami w domu nas nachodzi, jak i od redaktora, który osobą swoją i postępowaniem szerzone w swem piśmie idee ujawniać powinien.

Agitacya na Szląsku zmienić się musi w dogmat narodowy, a w pierwszych szeregach potężniejącej armii „budzicieli i obrońców“ kroczyć powinni polscy redaktorzy.

To, co dla każdego innego śmiertelnika jest stratą, wydatkiem, poświęceniem, to dla redaktora staje się zarobkiem. Wyjechać gdzieś na zebranie, aby zapalić do sprawy, ducha przebudzić, znaczy dla redaktora tyle, co zjednać sobie tylu a tylu nowych abonentów i marek przedpłaty. Więc bez wyrzekań na trud szerzenia oświaty, dalej do agitacyi osobistej, bo to podwójny zysk: zasługa około polskości i chleb powszedni. Oby polscy robotnicy na Szląsku mogli się takich przywódców czemprędzej doczekać, — a i dla ludu wiejskiego ich nigdy za mało.

Chim.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 9 lipca.

(Akdemia umiejętności i ostatnie jej posiedzenie. — Towarzystwo kultury etycznej i gmina wolnomyślna. — Wolnomyślna nauka religii dla dzieci. — Kobiety w uniwersytecie).

Pomimo letniej kanikuły ruch społeczny i stowarzyszeniowy nie ustaje. Nietylko robotnicze stowarzyszenia odbywają codziennie kilka zgromadzeń, gdzie dysputy prowadzone są z zapałem, ale i lokale towarzystw naukowych lub społecznych nie świecą bynajmniej pustkami. U członków partyi robotniczej łatwo zrozumieć to pomijanie wszelkich przykrości, spowodanych gorącem, duszną atmosferą, a często koleją miejską, przejeżdżającą nad głowami. W Berlinie bowiem panuje ten miły zwyczaj, że restauracye szukają sobie lokalów w budowie stanowiącej podstawę dla toru kolei miejskiej. Nerwy Berlińczyków nie cierpią na tem bynajmniej! Robotnicy zahartowani są do wszelkiego rodzaju niewygód i przykrości, a zresztą zgromadzenia ich mają cele realne, walkę dnia. Ale że taki cel nie jest koniecznym warunkiem dla zgromadzenia ludzi, pomimo, że zieleń i chłodny powiew wieczora nęcą ich do „Tiergartenu“ lub za miasto, tego dowodem natłok na zgromadzeniach z celem naukowym lub pouczającym.

Oto ostatnie posiedzenie berlińskiej akademii umiejętności napełniło po brzegi maleńką salkę „pod Lipami“, nie przeznaczoną snać dla ciekawej publiczności, lecz dla uczonego, a niezbyt licznego areopagu. Nie troszczą się uczone ciała o wygodę, a nawet o przyciągnięcie słuchaczów. To nie popularyzacya wiedzy, lecz nauka dla nauki, a taka zawsze w niewielkiem zamyka się kole. Paryscy nieśmiertelni obradują w tak małej sali, że publiczność siedzi wśród akademików; a nieraz z poza głów obielonych siwizną wychyla się ośmnastoletni buziak słuchaczki, przybyłej na posiedzedzenie publiczne w eleganckim, zarzuconym kwiatami kapelusiku. W Berlinie herezye podobne się nie dzieją: publiczność oddzielona jest od akademików, poważny, wyrzeźbiony misternie profil Mommsena, charakterystyczna głowa greckiej hermy, osadzona na małm korpusie Curtiusa, wreszcie przebiegła i mądra twarz zręcznego polityka w nauce Schmollera mają za tło tylko poważne, białe ściany.

Akademia, założona przed stu niemal laty przez słynnego filozofa i polyhistora Leibniza, twórcę akademii wiedeńskiej i petersburskiej, obchodziła 4 lipca zgromadzeniem publicznem stuletnią rocznicę jego śmierci. Otworzył je Mommsen, przemawiający o stosunkach państwa do nauki. Mnożące się wciąż zadania obu tych nowoczesnych potęg oddalają je od siebie. Minęły te czasy, kiedy minister pruski pracował nad zasadami języka K a w i, lub redagował M o n u m e n t a G e r m a n i a e h i s t o r i c a e. Dziś polityka pochłania całego człowieka, a nauka zazdrośnie strzeże swych podwoi przed dyletantami. Z nowych członków przyjęci zostali filozof prof. Strumpf, jeden z ulubionych akademickich nauczycieli, jako następca Zellera, Eryk Schmidt, profesor nowoczesnej literatury niemieckiej i egiptolog Adolf Erman. Każdy z nich złożył poniekąd swoje naukowe wyznanie wiary. Dowiedzieliśmy się zatem, że filozofia unika dziś już szerokiej syntezy, zwracając się do badania pojedyńczych zjawisk duszy i przyjmując przyrodnicze metody, że egiptologia coraz ściślej bada wiarogodność swych pomników i odrzucając wielką ilość mniemanych odkryć, zadowolić się musi małą liczbą pewnych i sprawdzonych krytycznie wiadomości. Eryk Schmidt zaznaczył znaczenie i wpływ na utwory literackie indywidualności, która je właściwie zabarwia niezależnie od Taine'owskiego m i l i e u, dziedziczności lub wychowania.

Na mowy akademików odpowiedział Mommsen. Wreszcie sędziwy Dubois-Reymond dłuższe poświęcił wspomnienie dla przyjaciela młodości, genialnego Helmholtza.

A teraz ze świątyni, w której wiedza się przygotowuje, zstąpmy tam, gdzie pragnie ona promienie swe rozszerzyć na masy. Istniejące od lat paru Towarzystwo „K u l t u r y e t y c z n e j“ postawiło sobie za zadanie, niezależnie od odrębności warunków życiowych, od religijnych i politycznych przekonań, szerzyć zasady kultury etycznej. Celem jego jest rozpowszechniać panowanie sprawiedliwości, prawdy, ludzkości, wzajemnego szacunku.

W tym celu stara się Stowarzyszenie skupiać jak najwięcej członków, zobowiązując ich do zachowywania pewnych prawideł moralnych, a wśród jak najszerszej masy popularyzować wiedzę i zrozumienie form i urządzeń życia społecznego, gospodarczego i politycznego. W tym celu towarzystwo urządziło Czytelnię bezpłatną pism i książek, wydaje liczne i śmiałe broszury, członkowie jego wygłaszają odczyty, z którymi łączą się dłuższe dyskusye.

Odczyty, do których dostęp wolny jest dla każdego, odbywają się w odrębnym własnym lokalu Towarzystwa. Zdarzyło się waszemu korespondentowi być na odczycie dr. Penziga „O anarchistach“. Sam temat odstraszyłby publiczność poznańską nietylko od odczytu, ale i od ulicy, na której się tak heretyckie tematy roztrząsają. Dr. Penzig bowiem mówił o teoretycznych zasadach anarchizmu, o związku jego z filozofią indywidualistyczną, anarchistów nie wyklinał, uważając ich za zjawisko współczesne, które, jako złe, czy dobre, zrozumieć trzeba, skoro raz jest. Wśród publiczności przeważały kobiety, kobiety zajmują się też przeważnie w czytelni, gdzie członkowie Towarzystwa pełnią kolejno obowiązki bibliotekarzy.

Ale i na tygodniowych zgromadzeniach „wolnomyślnej gminy“ publiczność jest w połowie przynajmniej kobieca. Słowarzyszenie to bardzo pokrewny z poprzedniem nosi charakter. Gminy wolnomyślne rozsiadły się już po wielu miastach niemieckich, a wszędzie mają one charakter filozoficzno-religijny, zastrzegając przecież wyraźnie, że pod religią rozumieją nie stosunek do istoty pozaświatowej i zagrobowego życia, ale mniej lub więcej świadome czysto ludzkie dążenie istoty ludzkiej do harmonijnego stosunku z otaczającym nas światem na zasadzie prawdy i sumienności. Dążenie gmin scharakteryzujemy słowami gminy frankfurtskiej, które wydają się nam najlepiej je określać: Stowarzyszenie wolnomyślne ma na celu szerzyć światopogląd oparty na wiedzy i rozumie i popierać wszelkie usiłowania, mające na celu dążenie humanitarne i oświatę, wyłączając przecież wszelkie wyraźne stanowisko polityczne członków.

Gmina berlińska, o której pisaliśmy już kilka tygodni temu, malując przebieg zgromadzenia wielkanocnego, urządza co niedzielę dwa zgromadzenia. Pierwsze przeznaczone jest dla dzieci i stanowi rodzaj wykładu katechizmu, drugie obok śpiewu i muzyki daje zawsze wykład filozoficzny lub naukowy.

O ile zgromadzenia dla starszych dodatnie czynią wrażenie, o tyle nauka dla dzieci przygnębiające wspomnienie pozostawia. Maleństwo, bo dużo tu dzieci niżej lat 10-ciu, śpiewa pieśni o harmonijnej melodyi. Zgoda, ale, gdy opierając się na słowach pieśni świecki kaznodzieja wejdzie na katadrę i tłomaczyć zacznie ducha czasu, gdy wykłada, że religia ich, to nie żaden zakrzepły dogmat, ale wiecznie zmienne, zależne od okoliczności prawdy, to już sympatyzować z nim nie można. Dzieci się nudzą, mało rozumieją, ale to i lepiej: dla umysłu dziecinnego trzeba stałej prawdy, choćby dogmatu i nakazu. Na krytykę będzie czas potem, a teraz chodzi o strawę dla uczucia i fantazyi, o zasady postępowania! To też dopóki Stowarzyszenie wolnomyślne prawd takich nie wytworzy, lepiej, że 5 milionów dzieci, które w Prusach uczęszczają obecnie do szkół ludowych, wychowuje się religijnie.

Staramy się informować czytelników naszych o postępach kwestyi przyjmowania kobiet do uniwersytetu. Otóż liczba słuchaczek na wszechnicy berlińskiej rośnie z dniem każdym, dziś liczą ich już 15. Przed kilku dniami zaś wyszedł reskrypt ministra oświaty Bossego, że każda kobieta przyjętą być może za zezwoleniem rektora, odpowiednich docentów i z potwierdzeniem ministra. Minimalną kwalifikacyą jest, jak się zdaje, seminaryjna matura. Są przecież i takie, co pomijają odważnie te formalności i zjawiają się w audytoryach; wzbudza to przecież niezadowolenie profesorów. Trudno się temu dziwić, bo jak zauważył żartobliwie jeden z największych przyjaciół studyów kobiecych, wobec panujących w Berlinie zwyczajów każdy student sprowadziłby mógł damę swego serca... Przecież i „pod Lipami“ wygodnie spotkać się można... Wybaczcie ten swawolny żarcik czytelnicy, pochodzi on z ust filozofa!

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Ks. kardynał Ledóchowski. — Wspomnienia. — Zmiana sytuacyi. — Stanowisko duchowieństwa w życiu politycznem. — Herezya i protest.)

Mieczysław Halka Ledóchowski — oto nazwisko rozbrzmiewające dzisiaj na całem obszarze prowincyi polskich. Łączą się z niem wspomnienia bohaterskich bojów i wielkich poświęceń, — cała tragedya walki kulturnej, krzyk ludu zdeptanego brutalną stopą Bismarcka i Brennusowe „V a e v i c t i s“ zaborców.

A przecież w tej walce śmiertelnej mało serc zamarło, — męczeństwo rozpala iskry w pożar olbrzymi, — ludzi nie w karłów lecz bohaterów zamienia. I on, jubilat dzisiejszy, gdy z dalekiej obczyzny do ziemi naszej zawitał, spoglądał na nas jak na cudze plemię. Kosmopolityczny sługa Kościoła ojczyznę swoją widział w watykanie. Cudzoziemiec z wychowania nie kochał ani ziemi polskiej, ani tego ludu, o którym niegdyś śpiewał poeta: „Rozwieje was gniew boży jako lekkie plewy“. A potem zaczęła się męka. Widział ukrzyżowanie nasze i ciernie i łzy polskie, i nagle obok kapłana stającego w obronie kościoła, zbudził się w Ledóchowskim Polak uśpiony kosmopolityzmem rzymskim i kulturą obczyzny. Jest w każdym człowieku nieomal kryształowe źródło patryotyzmu, często bijące strumieniem potężnym, czasem zagrzebane gdzieś w głębinach duszy. — ale są czarnoksięzkie zaklęcia, które jak niegdyś laska mojżeszowa ze skały twardej wydobędą źródło i popłynie ono falą szeroką, gdy Izrael usycha z pragnienia. Tem zaklęciem świętem stała się dla Ledóchowskiego męka narodu, — tą laską mojżeszową maczuga Bismarcka. A potem porwała go ręka zaborcy i zamknęła w murach ostrowskiego więzienia. Walczył i cierpiał za K o ś c i ó ł, lecz gdy w tej walce i w tem cierpieniu ujrzał lud p o l s k i przy sobie, gdy wspólna z P o l s k ą była jego męka. gdy płacz p o l s k i ogromnem łkaniem płynął ku niemu przez więzienne bramy, wtedy na mocy żelaznych praw psychologicznych ten międzynarodowy sługa Watykanu poczuł się synem ojczyzny. I zabrał ze sobą do Rzymu tę miłość dla Polski i nie zamarły w kardynale rzymskim wspomnienia i serce p o l s k i e g o arcypasterza. Tam z stolicy Piotra przesyłał on nieraz ojczyźnie polskiej widome znaki pamięci, i nieraz, gdy na chmurnem niebie ojczyzny zajaśniał mały promyczek nadziei, czuliśmy wszyscy, że rozpaliła go ukryta ręka Ledóchowskiego. Więc za to o d r o d z e n i e patryoty, za te skrzydła opiekuńcze, któremi nietylko kardynał kościół, lecz P o l a k p o l s k i e świątynie otacza, my dzisiaj łączymy się w jubileuszowym hołdzie z całem społeczeństwem i kreślimy słowa: Cześć Ledóchowskiemu!

Z okrzykiem takim kojarzyć się muszą wspomnienia; — upłynione godziny życia narodowego plączą się z obrazami chwili obecnej, budząc tysiące myśli, porównań, refleksyi. Gdy Ledóchowski zawitał do kraju, duchowieństwo wielkopolskie dziwny przedstawiało widok. Wśród zaciętych bojów stronnictw poznańskich rozpolitykował się kler nasz, ciągnąc rydwany tej lub owej partyi. Jedni, zszeregowani pod sztandarem „białych“, stronnikom swoim obiecywali błogosławieństwo niebios, a karami piekła grozili przeciwnym obozom, — inni powiewali chorągwią czerwoną, wołając zuchwale, że tylko na nią prawy syn kościoła przysięgać powinien. Każdy stósownie do temperamentu, przekonań, sympatyi osobistych służył temu lub owemu stronnictwu, a w tej walce zaciętej, w tem wyzyskiwaniu sukienki duchownej gasła aureola kapłaństwa i powaga kleru z dnia na dzień się obniżała. Bystre oko arcybiskupa Ledóchowskiego zorjentowało się natychmiast w położeniu. Widział on, że z politykomanii duchowieństwa wyrasta mina niebezpieczna, która rozsadzić może fundamenty Kościoła, widział, że powiewanie suknią duchowną jako argumentem w szermierkach politycznych może suknią tę narazić na splamienie, widział wreszcie, że namiętności polityczne pochłaniają miłość chrześcijańską, której reprezentantem i stróżem winien być kapłan według nauki Chrystusa. I oto zabrzmiał z pałacu arcybiskupiego rozkaz, aby duchowieństwo wycofało się z życia publicznego i na kościele, na krzewieniu zasad religijnych ograniczyło działalność swoją. Reskrypt arcybiskupi odniósł skutek pożądany. Sukienki duchowne znikły z widowni politycznej, i ścichły dysonanse, które nieraz parafią na dwa wrogie dzieliły obozy, niekiedy dwór przeciw plebanii rzucały i rozbrzmiewały podwójnym okrzykiem: „Z księdzem!“ lub „Przeciw księdzu!“

A dziś? „Andere Vögel, andere Lieder!“ Dziś nowe ozwały się hasła i nowe prądy grają w społeczeństwie. Dziś duchowieństwo w politycznych bojach opuszcza stanowisko cichego widza i z animuszem rycerskim do czynnej podąża służby, dziś, gdy lojalny „ład i porządek“ staje do walki z ideą narodowo-demokratyczną, na czele zastępów z roziskrzonem okiem kroczy kler poznański. Jeżeli jednak przed erą Ledóchowskiego kapłani w różnych stawali obozach i, posłuszni przekonaniom lub upodobaniom swoim, białym i czerwonym służyli bezkarnie, to dzisiaj sytuacya o tyle się zmieniła, że księdzu politykującemu tam tylko wolno stawać do apelu, gdzie „ł a d i p o r z ą d e k“ sztandar swój rozwija. Dzisiejsze duchowieństwo, wstępujące na szańce życia publicznego, to nie żołnierze różnych obozów, lecz wielka armia ugodowo - konserwatywna, wroga tym wszystkim, którzy „ładu i porządku“ tam uznać nie mogą, gdzie etykieta ta osłania oligarchię jawnych i tajnych krzewicieli rafinowanego lojalizmu. Ta rola duchowieństwa staje się niebezpieczną przez wzgląd na powagę kapłaństwa, rzucającą przywiązanie ludu do kościoła na szale polityczne, a niebezpieczniejszą jeszcze, gdy opozycya do duchownych reprezentantów ugodowo-konserwatywnej polityki zyskuje z ust kleru wyraźne piętno religijnego odstępstwa, bluźnierstwa i walki z kościołem. Tendencye takie rozwijają się z przerażającą szybkością, pielęgnowane starannie i wynagradzane przez możnowładzców dyplomacyi naszej. Zrazu występowały one z maskowanem obliczem, dziś, rozzuchwalone, już się nie kryją w karnawałowych dominach i niekiedy otwarcie naturalnym głosem opowiadają ewangelie swoje.

Przypominam sobie interesującą dyskusyę, prowadzoną w niedalekiej przeszłości z jednym z młodych kapłanów. Chodziło o założenie ludowego pisemka, które nosić miało tytuł: „Nowy Orędownik“ (sic) i w tym celu sproszono na posiedzenie garść inteligencyi poznańskiej. Mówiono o programie i poruszano oczywiście kwestyę stosunku duchowieństwa do polityki, a w toku dyskusyi jeden z lekarzy miejscowych w takich mniej więcej odezwał się słowach:

— „Nie odmawiam duchowieństu prawa uczestniczenia w życiu politycznem, ale poczuwam się do obowiązku zapisać w programie naszym jedno zastrzeżenie: Ksiądz na arenie politycznej staje się zwykłym obywatelem, nie ma prawa do wyjątkowego szacunku, ponosić musi wszelkie konsekwencye stronniczych namiętności i nie może pod żadnym warunkiem wygrywać powagi kapłańskiej jako politycznego atutu“.

Słowa te nie zjednały sobie uznania młodego kapłana, — wychowańca „nowej szkoły“.

— „Tego zaakceptować nie mogę, — odrzekł głosem nieco zirytowanym — kapłan ani na chwilę kapłanem być nie przestaje i dla tego wszędzie żądać musi tego szacunku i tych przywilejów, które się sukni duchownej należą. „Paś owieczki moje“ — powiedział Chrystus, a pasterstwo nasze nie kończy się na progu kościoła.“

— Więc żądacie posłuszeństwa w polityce? — przerwał mu lekarz.

Ksiądz zaambarasował się:

— Tak nie powiedziałem, ale jako nauczyciele i kierownicy ludu nie zstępujemy do rzędu zwykłych obywateli, jak pan się wyraziłeś, lecz zajmujemy stanowisko wyjątkowe i mamy prawo do wyjątkowego poważania.

Ponieważ dyskusya stawała się drażliwą,

więc ludzie zaczęli według poznańskiego zwyczaju chrząkać i zagadywać, aż w końcu przerwała się nić interesującej polemiki. Słowa jednak przytoczone powyżej, i to wszystko, co w gardle kapłana uwięzło, lecz dla ludzkiej domyślności wygórowanych nie stawia wymagań, — komentarzy nie potrzebują. Tendencye kleru i ten prąd; który ogarniać zaczął społeczeństwo, wystąpiły niemal bez maski, a jeżeli dzisiaj właśnie to przypominam i dzisiaj dzwonię na alarm, to skłoniły mnie do tego słowa, wyczytane świeżo w organie duchowieństwa, słowa, odsłaniające takie horyzonty kościelnej polityki, przed któremi zadrżeć musi każde szczerze narodowe serce. Oto zdania „Kuryera Poznańskiego“:

„Pragnąć należy gorąco, ażeby prasa nasza pozbyła się zacietrzewienia narodowościowego i oceniała wszystko z trzeźwego, jedynie właściwego punktu widzenia interesów katolickich, boć one to obejmują całkowicie interesa narodowe.... I u nas coraz szersze koła zaczynają rozumieć potrzebę zapatrywania się na sprawy narodowe przez pryzmat katolicki“.

Oto wyznanie organu duchowieństwa! A jeżeli kler nasz reprezentuje istotnie taką politykę i jeżeli żąda, aby święcenia kapłańskie stały się rekomendacyą i „Imperatywem“ takich przekonań, to obowiązkiem naszym tem energiczniej rzucić rękawicę hegemonii kościoła w życiu narodowem.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nekrology „Świata“. Zdolny publicysta lwowski *Józef Bornstein* poświęca w „Myśli“ następujące wspomnienie świeżo zwiniętemu, a nader starannie redagowanemu dwutygodnikowi „Świat“:

„Faktem jest chyba stwierdzonym dostatecznie, że Galicya zdobyła sobie Herostratową niemal sławę „generalnej grzebaczki“ każdego objawu literacko-artystycznego, najniewdzięczniejszego gruntu pod szlachetny i miazmatami stronniczemi nie przesiąknięty posiew duchowej karmy. Nam tylko trzeba chleba i zabawy — woła u nas ogół. „Panem et circenses“ — nic nadto — duchowe sprawy obchodzą nas o tyle tylko, o ile możemy od czasu do czasu dostać z trzeciej ręki jakąś gazetkę lub pójść do teatru za darmo. Sztuki piękne lubimy — a jakże — ale wolimy oglądać piękne obrazy bezpłatnie, n. p. przespacerować się do Towarzystwa sztuk pięknych w 10 osób za jedną akcyą naszego sąsiada. To jest tło prawdziwe, żadną przesadą lub tendencyjnym kolorytem nie zamalowane. Jedni (a tych może najwięcej) są po prostu za ograniczeni, aby zrozumieć, że poza codzienną kawą, rozbratlem i kroniką codziennej gazety — istnieje wogóle jakaś szersza i wyższa sfera duchowa, nie rentująca się co prawda, nieproduktywna, ale przecież stanowiąca probierz uspołecznienia i kulturalnego wyrobienia społeczeństwa. Nam snać takiej sfery nie dostaje zupełnie, brak odczucia i zrozumienia potrzeby literackiego doskonalenia się i dążenia w ślad choćiażby za Czechami, gdzie nietylko ludowa, ale i piękna literatura kwitną.

Wykazy statystyczne nie wykazują tam 3 i pół miliona z okładem analfabetów, dzienniki nie opierają się na subwencyach i wekslach „łaskawych protektorów“, wydawnictwa literackie i ilustrowane nie marnieją i nie usychają z braku soków ożywczych w postaci abonentów.

Gdyby n. p. byt takiej „Złatej Prahy“ był zagrożony, jakieby tam powstały żale i rekryminacye, iluby się znalazło chętnych (nietylko sławy i reklamy żądnych) do pospieszenia z pomocą doraźną, pisma bez różnicy przekonań i odcieni uderzyłyby na alarm, ogłosiłyby nowe listę składek publicznych, nie dając upaść jedynej krajowej ilustracyi. A w naszym wystawowym kraju, co się stało gwoli podtrzymania „Świata“, a tem samem odwrócenia od kraju wstydu i ciężkiej sromoty, że nie był w stanie na własnych barkach udźwignąć „ciężaru“ polskiej ilustracyi? U nas nic absolutnie nie zrobiono, bośmy w onej chwili upadku pisma tak zajęci byli jednoczesnem klapnięciem starego gabinetu, a tworzeniem się nowego, żeśmy nad tak drobnym wypadeczkiem nie mieli po prostu czasu się zastanowić, zresztą w kronice obok wypadków policyjnych była przecież wzmianka: „„Swiat““ przestał wychodzić“. Czyż to nie wystarcza?!

Nam się takie przejście do porządku dziennego nad pismem, które walczyło dzielnie przez lat ośm z dziką apatyą i azyatycką obojętnością ogółu galicyjskiego, wydaje po prostu monstrualnem i godnem uwieńczenia wielkiemi głoskami w kronikach kraju. Długoletni właściciel i redaktor „Świata“ — Zygmunt Sarnecki — dobiega właśnie 40 lat zasłużonej pracy na niewdzięcznej niwie literacko-dziennikarskiej. Galicya, umiejąca czcić polskich pisarzy tylko bankietami i mówkami — a więc w sposób bardzo przystępny — śliczną zgotowała owacyę autorowi „Dworaków niedoli“ i „Hardych dusz“, bo w uznaniu jego 40-lecia literackiego kazała ojcu pogrzebać najukochańsze dziecię, którego wyżywienie „przechodziło“ już nadwątlone siły kraju“.

(Skargę powyższą możnaby z równą słusznością wystosować pod adresem Wielkopolski. Przyp. Red. „Przegl. Pozn.“)

* * *

Odczyt „O życiu i śmierci“. Rektor berneńskiej szkoły technicznej prof. Kronecker miał niedawno bardzo zajmujący odczyt p. t. „O życiu i śmierci“, z którego kilka ustępów przytaczamy: Powszechnie przyjętą jest zasada — mówił prelegent — że gdzie niema oddechu, gdzie serce nie bije, tam niema życia. Zasada ta jednak ulega wielkiej modyfikacyi nawet u zwierząt ssących. Dowodem te zwierzęta, które odbywają sen zimowy. Ciepłota ciała pogrążonych w śnie zimowym świstaków spada prawie do stopnia ciepłoty ciała zwierząt o zimnej krwi, to jest do 4 stopni, zwierzę oddycha bardzo rzadko, a serce jego bije zaledwie 10 razy na minutę. Zwierzę jest pozbawione zupełnie czucia; można mu głowę uciąć, a ono się nie poruszy; nawet pod wodą może żyć czas dłuższy. Takie same półżycie (vitam minimam) napotykamy także u śpiących jeży, nietoperzy, kretów i t. p., w mniejszym stopniu u niedźwiedzi. Także bardzo wiele zwierząt o zimnej krwi zapada w sen zimowy, a niektóre, w okolicach podzwrotnikowych, w sen letni. Alligator w północnej Ameryce zasypia podczas silnych mrozów, w Ameryce podzwrotnikowej zaś w lecie podczas upalnych dni. Wśród ptasząt niema żadnych, któreby zapadały w sen zimowy. Te, które zimy na północy znieść nie mogą, odlatują na południe. Rośliny wszystkie spoczywają w zimie.

Wielką jest wytrwałość nasion. Zdolność kiełkowania zatrzymują one przez długie lata, a nawet przez tysiące lat. Ziarna pszenicy, znalezione przy mumjach, posiane po tysiącu lat, zeszły i wydały plon. Niektóre mchy, które dziesiątki lat leżały w suchem miejscu, np. w zielnikach, zmoczone odzyskiwały napowrót zdolność rośnięcia. Spokój nie jest śmiercią, lecz utajonem na razie życiem.

* * *

Berliński korespondent „Kraju“ donosi:

„W kółku ekonomistów, pozostającem pod przewodnictwem najznakomitszego ekonomisty współczesnego, prof. Wagnera, wygłosiła Warszawianka, d-rka Zofia Waszyńska, wykład „O metodzie statystyki historycznej“. Rzecz traktuje jedno z najtrudniejszych zagadnień metodologicznych i została przez prelegentkę opracowaną w sposób, który obecnych profesorów do wysokich pobudził pochwał. Na ich żądanie ogłosi autorka swą pracę drukiem w jednym z najpoważniejszych organów zawodowych“.

(Specyalny nasz korespondent berliński przesyła nam notatkę, że nazwisko prelegentki podano mylnie. Jest nią: *Dr. Zofia Daszyńska.*)

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** Ks. kardynała Ledóchowskiego uczczono z powodu jubileuszu kilku adresami, wystosowanemi przez red. „Dziennika Poznańskiego“, red. „Gońca Wielkopolskiego“, redakcyę „Przyjaciela“ toruńskiego, parafian ostrowskich i t. d. — W okręgu babimojsko-międzyrzeckim odbędą się wybory ściślejsze między kandydatem polskim ks. Ignacym Szymańskim z Dąbrówki a p. Dziembowskim, kandydatem konserwatystów niemieckich. Na ogólną liczbę 16,917 oddanych głosów braknie Polakowi tylko 834 do uzyskania absolutnej większości. Zwycięstwo zależy od stanowiska antisemitów i wolnomyślnych. — Pożyczka, ofiarowana Chinom przez konsorcyum rosyjsko-francuskie nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku, bo rząd chiński nie zgadza się na zagwarantowanie pożyczki przez Rosyę. — Rektor wrocławskiego uniwersytetu zabronił studentom odbywania zebrań politycznych w sprawie założenia akademickiej filii K. H. T. Studenci, którzy pierwsze zgromadzenie odbyli w gmachu uniwersyteckim, nie poddali się rozporządzeniu temu, lecz zwołali powtórne zebranie do hotelu „König von Ungarn“. W czasie dyskusyi zjawił się na sali pedel i wezwał w imieniu rektora do natychmiastowegn opuszczenia sali, a gdy z powodu rozkazu tego powstał hałas i zamieszanie, komisarz policyjny zgromadzenie rozwiązał.

*** Teatr i muzyka**. Znany publiczności poznańskiej pan Knake-Zawadzki, utalentowany artysta teatru krakowskiego, zaproszony został na szereg gościnnych występów do Łodzi. Pan Zawadzki wystąpi w kilku bohaterskich rolach wielkiego repertuaru. — Paryskie więzienie „Mazas“ wkrótce przerobione zostanie na teatr Diderota poświęcony komedyi i wodewilowi. — W Wiedniu założono teatr, przeznaczony wyłącznie dla robotników, utrzymywany przez umyślnie w tym celu utworzone stowarzyszenie. — Trupa teatralna ze Stanisławowa w Galicyi zamierza podobno udać się na gościnne występy do Ameryki. — W Ciechocinku występuje trupa Puchniewskiego, w Piotrkowie trupa Sarnowskiego. — „Pet. Wiedomosti“ piszą: „Dowiadujemy się, że jenerał-gubernator warszawski, hrabia Szuwałow, składa projekt, dowodzący konieczności założenia w Warszawie stałego teatru rosyjskiego“. — Sara Bernhardt i Duse występowały prawie równocześnie w Londynie w roli Magdy w „Gnieździe rodzinnem“ Sudermanna. Rola Magdy od kilku lat była jedną z najlepszych kreacyi znakomitej włoskiej artystki, podczas gdy Sara Bernhardt odtworzyła w Paryżu tę rolę po raz pierwszy dopiero tej zimy. Angielskie dzienniki zgadzają się obecnie jednomyślnie, iż artystka francuska odniosła zwycięztwo nad włoską. Krytyka angielska przyznaje, że Eleonora Duse jest naturalniejszą i z większem uczuciem odtwarza rolę Magdy, lecz zarazem twierdzi, że w dramacie Sudermanna chodzi więcej o siłę i patos, dla tego też oddaje palmę pierwszeństwa Sarze Bernhardt. Francuska prasa wita z radością to zwycięztwo Sary w pojedynku artystycznym, a „Journal des Débats“ zaznacza, iż Sara Bernhardt przyczyniła się ponownie do podniesienia sławy Francyi.

Zmarli:

*** Tomasz Henryk Huxley**, znakomity fizyolog i antropolog angielski, zm. 30 czerwca w Londynie.

*** Michał Dragomanow**, pisarz rosyjski, b. profesor uniwersytetu kijowskiego, zm. w Zofii w końcu czerwca.

Sprostowanie

Do fantazyi „Bosfor“, zamieszczonej w nr. 26 zakradła się wskutek nieuwagi korektora następująca omyłka: Zamiast „To Newa, ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi“, — czytać należy: „To nowa ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Engelke. Wierszyka nie zamieścimy, ale nie „nakazujemy autorce milczenia“. W utworze nadesłanym są ślady talentu, lubo forma, mianowicie w końcowych zwrotkach, pozostawia wiele do życzenia.

Dr. N. G. 1) Sprawa ta nadaje się do publikacyi w któremkolwiek z pism codziennych. Postaramy się o umieszczenie 2) Prosimy poinformować nas, w jaki sposób żądane egzemplarze pisma naszego przesyłać. Ze względu na niecenzuralność „Przeglądu Poznańskiego“, pod opaską ekspedyować go nie możemy, a zamknięte koperty wymagają znacznej opłaty (0,60 Mr. za numer). Jeżeli osoby, wymienione w liście pańskim, mieszkają w pobliżu granicy, wysyłać będziemy „Przegląd“ poste-restante do najbliższej pogranicznej poczty pruskiej.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.